WTOREK Nr 121 7 XII 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ZAWISZACY

40 lat temu, w listopadzie 1942 roku powstała w ramach Szarych Szeregów organizacja, w skład której wchodzili chłopcy w wieku od dwunastu do piętnastu lat. Dla tego najmłodszego szczebla Szarych Szeregów przyjęto kryptonim ZAWISZA.

Postać sławnego rycerza z Garbowa miała służyć kształtowaniu charakterów, miała być ideałem, który chłopcy powinni naśladować. O Zawiszy mówił jeden z punktów Prawa Harcerskiego: „Na słowie harcerza polegaj jak na Zawiszy". Został więc Zawisza Czarny z Garbowa patronem całej organizacji. Nazwa przyjęła się, stała się dla wszystkich członków ich własnością. O chłopcach mówiło się „zawiszacy". Organizacja miała również swój hymn, który między innymi mówił, że *„złączeni węzłem drużyny, pod wodzą cienia Zawiszy, zmieniamy hasła na czyny, a czyny to symbol zdobyczy. Zawisza Czarny z Garbowa, uczy nas mężnymi być, w czystości myśli i słowa, tak jak on dla Polski żyć..."*

Zaczynał się właśnie czwarty rok hitlerowskiej okupacji. Jak przeżyć ten straszny czas? Jak żyć? Jak żyć dla Polski? – te pytania towarzyszyły nie tylko starszemu społeczeństwu. Instruktorzy Szarych Szeregów opracowali dla organizacji program. Na „dziś", na „jutro" i na „pojutrze"! Obowiązywał on również w organizacji zawiszackiej. **DZIŚ** – to właśnie służba w konspiracji, w swojej drużynie, w swoim zastępie. I dobra nauka w szkole, mimo represji jakie okupant stosował wobec polskiego szkolnictwa w podbitym kraju. **JUTRO** – to okres przełomu, a więc jawnego powstania przeciw okupantowi i jednocześnie egzamin dla zawiszaków, którym przyjdzie pełnić w dniach walki służby pomocnicze. **POJUTRZE** – to harcerska służba na rzecz odbudowy ze zniszczeń wojennych kraju.

CIĄG DALSZY NA STR. 4-5

UWAGA HARCERSKIE I SZKOLNE TEATRY LALKOWE!

● Tydzień na zimowisku wśród lalkarzy z całej Polski!

● Przeglądy, spotkania, zajęcia warsztatowe!

● Lalkarski jarmark, zabawy, wycieczki i wielki bal! czekają na wszystkich tych, którzy zostaną zakwalifikowani do udziału w V Ogólnopolskim Harcerskim Przeglądzie Teatrów Lalkowych w Bielsku-Białej.

KURTYNA W GÓRĘ.

● KTO ma szansę wziąć udział w Przeglądzie?

– Nie przekroczone 19 lat każdego uczestnika.

– Czas trwania przygotowanego spektaklu nie dłuższy niż 30 minut.

– Lalki, dekoracje i inne rekwizyty powinny być wykonane przez członków zespołu.

● **CO czeka najlepszych z najlepszych?**

Oprócz niewątpliwej satysfakcji płynącej z udziału w Przeglądzie – nagrody dla piątki laureatów, o których zadecyduje jury. A ponadto: udział wytypowanych zespołów w X Festiwalu Kieleckim oraz nagroda specjalna gospodarza przeglądu – Teatru „Banialuka" – zaproszenie na Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalkowych w 1984 roku. Dla wszystkich zaś – pamiątkowe dyplomy.

● **DO udziału w zajęciach warsztatowych na zimowsku mogą ponadto zgłosić swój udział instruktorzy harcerscy prowadzący teatry lalkowe nie zakwalifikowane na Przegląd.**

Najlepszy, wytypowany przez komendę chorągwi ZHP teatrzyk lalkowy: harcerski lub szkolny. Do komend chorągwi więc należy zgłaszać swe kandydatury **do dnia 20 grudnia br.**

● **JAKIE należy ponadto spełniać wymagania?**

Ponieważ czasu zostało naprawdę niewiele (poszczególne chorągwie zgłaszają swoich reprezentantów organizatorom w Bielsku-Białej do 1 stycznia 1983 roku), zastanówcie się, czy Wasz teatrzyk mógłby spróbować swoich sił w Przeglądzie. Jeśli tak – szybciutko zgłoście swą kandydaturę do komendy chorągwi ZHP. Warto spróbować, bo wiele się będzie można nauczyć i skorzystać wiele! **(tem)**

Fot. **M. Szymański**

Spotkajmy się w niedzielę, 12 grudnia

Koncerty „Gawędy" na Rzecz Dzieci

Za kilka dni, w niedzielę 12 grudnia w Sali Kongresowaj PKiN wystąpi Reprezentacyjny Zespół Artystyczny ZHP „Gawęda". Całkowity dochód z dwóch koncertów, które odbędą się o godz. 15 i o godz. 19 przeznaczony będzie na pomoc zimową dla dzieci.

Bilety można nabywać codziennie w kasie Sali Kongresowaj (wejście od ul. E. Plater) w godz. 13-17. Zamówienia na bilety zbiorowe przyjmowane są pod numerem telefonu 20-33-05.

Przypomnijmy, że z konta funduszu przekazano już ponad 20 mln zł na zakup odzieży i żywności dla dzieci z domów dziecka, rodzin wielodzietnych, na pomoc w organizowaniu obozów i kolonii dla dzieci chorych i kalekich itp. Obecnie Krajowy Fundusz na Rzecz Dzieci rozpoczyna zbiórkę środków na pomoc zimową. Liczyć się będzie każda, choćby najmniejsza wpłata. Wszystkim, którzy chcieliby wzbogacić fundusz, a tym samym pomóc dzieciom będącym w szczególnie trudnych warunkach podajemy nr konta:

NBP XV O/O i PKO w Warszawie
nr 1153-7722-132
Krajowy Fundusz na Rzecz Dzieci Warszawa,
Al. Ujazdowskie 13. **(mj)**

Pomysł do naśladowania

PRECZ Z NIEWIEDZĄ I OŚLIMI USZAMI

Jestem uczennicą Liceum Ogólnokształcącego w Kwidzyniu. Liceum to posiada wiele chlubnych tradycji. Jedną z nich jest coroczne „beaństwo" pierwszoklasistów. Bean to słowo, które po łacinie oznacza kogoś nierozumnego i niedouczonego. „Beaństwo" rozpoczyna się z pierwszym dniem nauki. Beani są wtedy traktowani przez IV-klasistów jak uczniowie niepełnoprawni, którzy muszą poddawać się ich zarządzeniom i wybrykom. Oczywiście wszystko odbywa się z humorem i jest to pyszna zabawa. Ja sama w tym roku byłam „beanem", a stan ten skończył się dla nas po wspaniałym chrzcie.

Dowcipna inscenizacja z Arcy-Osłem Asinusem Wielkim, diabełkami-kłobukami, kręgiem bezprawia, bujakiem mądrości, władcą Smętakiem, goleniem, malowaniem wsadzaniem w dyby, poprzedzona była wędrówką do Wisły po wodę, aby jej krople obmyły nas – biednych żaków.

Z nurtów Wisły „przybył" do nas nawet sam Kwidyn Wielki – założyciel naszego grodu, który miał sprawdzić nasze wiadomości z historii miasta i szkoły.

Jak wypadnę? Czy odpowiem na wszystkie pytania? Co zrobić, gdy pustka zapanuje w mojej biednej, beanowskiej łepetynie? O, wodo mądrości, obyś jak najprędzej obmyła mnie z niewiedzy i nieuctwa! Pośród wielkiego gwaru i harmidru, z duszą na ramieniu stanęłam przed miłościwie panującym Kwidynem Wielkim. Zlitował się nad biedną, trwożną beanką pan i władca udzielny, racząc wysłuchać mojej skromnej odpowiedzi. Dotykając mego ramienia Ćwiekiem Mądrości, Kwidyn Wielki wymawiał następujące słowa: *Powierzam Ci honor i dobre imię kwidzynianki na całe życie. Bądź wierna miastu aż do śmierci.* Żona Kwidyna obcięła beanom ośle uszy i tak staliśmy się pełnoprawnymi uczniami LO w Kwidzynie.

Cała ta barwna, zabawna uroczystość zorganizowana przez kolegów z klas IV miała na celu coś głębszego niż rozrywkę. Było to związanie się z kwidzyńską ziemią na całe życie.

Małgorzata

Początek rozwikłania zagadki

ŚREDNIOWIECZNY PORT POD PUCKIEM

(PAP). Zakończył się kolejny, już piąty sezon badań jednego z najbardziej rewelacyjnych i zaskakujących znalezisk archeologicznych w Polsce – pozostałości wielkiego średniowiecznego portu na dnie Zatoki Puckiej. Ten mały jubileusz akcentują dwa fakty: zakończenie pierwszego etapu systematycznych badań oraz dalsze poszerzenie obszaru znaleziska, co czyni je jeszcze bardziej ważkim i intrygującym.

Przypomnijmy, że na pozostałości starych umocnień portowych natknęli się przypadkowo płetwonurkowie w lecie 1977 roku. Znajdowały się one na płyciźnie ok. 120 metrów od linii brzegu, nieco na zachód od obecnego portu w Pucku. Pierwsze znaleziska datowano na 13 stulecie, ale niebawem natknięto się na znacznie starsze konstrukcje, układające się w kilka warstw historycznych. Systematyczne badania podjęło Muzeum Regionalne w Pucku przy współpracy z szeregiem placówek naukowych, m.in. Instytutem Historii Kultury Materialnej PAN. Uniwersytetem Gdańskim, Muzeum Archeologicznym w Łodzi i Politechniką Śląską.

Badania te pozwoliły ustalić, że ogromny jak na owe czasy port istniał w okresie od VI do XIII wieku i rozciągał się na obszarze 12 hektarów. Ostatnie odkrycia każą nawet ten teren poszerzyć. W pierwszym etapie, właśnie zakończonym, postanowiono szczegółowo spenetrować dwa spośród 16 sektorów, na jakie cały obszar został podzielony. Obok potężnego pomostu portowego o typowo słowiańskiej konstrukcji, umocnień brzegowych i skupisk ceramiki znaleziono resztki 4 łodzi. Najbardziej interesujący z tych wraków pochodzi z wieku VI, a co ciekawsze, była to już jednostka żaglowa, prawdopodobnie pochodzenia skandynawskiego.

Jak stwierdzono, jeden z elementów konstrukcji portowych pochodzi z VII wieku p.n.e., czego naukowcy nie potrafią w tej chwili wyjaśnić. To tylko jedna z wielu zagadek związanych z puckim znaleziskiem. Ogromnie trudno określić, kiedy i w jakich okolicznościach port ten powstał. Łatwiej natomiast wyciągać wnioski na temat czasu i sposobu jego zagłady. Mówią o tym ślady spalenizny z XIII wieku. Z dużym prawdopodobieństwem wolno przypuszczać, że port spalili Brandenburczycy podczas swego pochodu na Gdańsk.

Najbardziej zagadkową sprawą pozostaje fakt, że o istnieniu tak znacznego portu w tym miejscu nie ma żadnych konkretnych śladów w przekazach historycznych. A był to jeden z największych – być może największy port na Bałtyku. Dla porównania, wczesnośredniowieczny Gdańsk mieścił się na obszarze trzykrotnie mniejszym.

Archeolodzy są zdania, że pod dzisiejszym Puckiem istniał cały zespół portowo-miejski i jego śladów zamierzają poszukać także na lądzie. Bardzo pomocne tu będą zaprogramowane już zdjęcia lotnicze. W każdym razie, tematu do badań starczy na dziesięć lat. Czy przyniosą one pełne rozwikłanie zagadki? Czy uda się utożsamić odkrycie z legendarną Winetą lub Truso? A może warto jeszcze raz, pod specjalnym kątem, przekopać się przez materiały archiwalne nie tylko w kraju, ale także za granicą? Na razie zagadek i hipotez jest więcej niż pewników.

Latający kuter

ZSRR (PAP). Studenci z Ryskiego Instytutu Lotnictwa Cywilnego skonstruowali kuter, który w razie potrzeby przekształca się w samolot. Kuter zaopatrzony w skrzydła może wznieść się na wysokość 20 metrów i przelecieć nad wysepkami, płyciną lub innymi przeszkodami.

(jo)

UWAGA MIŁOŚNICY „ZAMORSKICH SPECJAŁÓW"!

Dostałem w sprawie **miechunki peruwiańskiej** ponad trzy i pół tysiąca listów i ich przeczytanie potrwa jakiś czas. Proszę więc o cierpliwość w oczekiwaniu na wyniki losowania!

J. DĄBROWSKI

REPORTER Świata Młodych

Liga Reporterów

RODZINA I JA

KAŻDY NA SWOJĄ MIARĘ

Jestem szczęśliwa. Mam 14 lat i chodzę do ósmej klasy ZSG. Sądzę, że mam już wyrobiony pogląd na wiele spraw, odznaczam się dużym poczuciem humoru, a przede wszystkim mam rodzinę, którą tworzą: mama, tato i trzy siostry (oprócz mnie). Rodzice pochodzą „zza Buga". Oboje nie mieli wesołego dzieciństwa, ponieważ przypadło ono na czas II wojny światowej. Rodzice wychowali się w rodzinach rolników i wiedzą, czym jest ciężka praca. Zresztą nie boją się jej – tato jest kierowcą, a mama pracuje jako prac. gospodarczy w masarni.

Odkąd pamiętam, to nie tato, ale mama karała nas, łajała czy też – nagradzała. Do dziś mama jest inicjatorką wszystkich domowych „kawałów" czy żartów. Ma ogromne poczucie humoru i jest bardzo towarzyska w przeciwieństwie do taty, który jest raczej małomówny i zamknięty w sobie. Problemy, kłopoty, konflikty rodzice rozwiązują wspólnie, choć i tak w większości mają takie samo zdanie. Z moich trzech sióstr dwie najstarsze założyły już własne rodziny. W panieńskim stanie zostałam tylko ja i Jolka (starsza ode mnie o 6 lat). Mama twierdzi, że mimo wszystko więcej krzyku o byle co słyszy się teraz, chociaż brak dwu osób. To prawda. Kłócimy się z Jolką bardzo często, ale jeszcze częściej się wygłupiamy. Mama wtedy mówi: „śmiejcie się, śmiejcie, zaraz będziecie płakać". Czasami to się potwierdza, zwłaszcza gdy któraś z nas przesadzi w żartach. Jednak są to sprawy drobne. Wiem, że do Jolki mogę pójść z każdą wątpliwością po radę czy pomoc. Nawiasem mówiąc, nie wyobrażam sobie co będzie, gdy ona pójdzie w ślady starszych sióstr i wyprowadzi się od nas.

Naszym rodzinnym hobby jest czytanie książek. Stąd też często obserwuję taki obrazek: mama nad książką, tato też czyta, podobnie – siostry. Pochłonięci czytaniem nie zwracali na mnie uwagi, więc i ja musiałam zabrać się za lekturę. Inną rozrywką są gry towarzyskie, które też uprawiamy.

W rodzinie najbardziej podoba mi się to, że mogę jej zaufać. Jestem rozumiana. Wiem iż z każdym problemem mogę się zwrócić do swoich bliskich. Podoba mi się również i to, że pomimo spowodowanych trudnymi czasami spięć i zgrzytów, w domu nadal panuje ta jedyna w swoim rodzaju atmosfera ciepła i bezpieczeństwa. Poznałam rodziców nie tylko w chwilach miłych, ale i podczas konfliktów. Gdybym miała coś zmieniać, dodałabym do już istniejących momentów jeszcze więcej wspólnych chwil.

Do czego dążymy? Do tego, żeby być człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu. Zarówno oni – rodzice, jak i my – ich dzieci. Może w inny sposób – każdy na miarę swego pokolenia...

Małgośka

UCIEC JAK NAJDALEJ

Moje życie jest szare i smutne, lecz winę ponosi tylko mój charakter, który kształtował się w dniach ciężkich chorób, których przez te 14 lat przeżyłam sporo. Najpierw były okropne kłopoty z gardłem, a potem po kilku latach przerzuciło się na głowę, czego wynikiem był tzw. atak padaczkowy. Leczę się u specjalisty prywatnie, co bardzo dużo kosztuje i wypominane jest mi to na każdym kroku.

Mama jest zwolenniczką kuchni pikantnej i ciężkiej, a ja mam kłopoty z żołądkiem (silne bóle głowy i ostre wymioty), toteż staram się unikać takich potraw, co komentowane jest w ten oto sposób – „człowiek to sobie flaki wypruwa, żeby coś ugotować, a ty tylko dziękuję i dziękuję, co za dzieciak tyle z nim kłopotów, że nie wspomnę o tych tysiącach co na lekarstwa się wydaje". Końcówka zawsze jest taka sama, a przecież nie jesteśmy tacy biedni, do milionerów nie należymy, ale z wysiłkiem starcza nam do pierwszego.

Kiedy byłam chora, pozwalano mi robić to, na co miałam ochotę, a teraz nawet czas nauki mam wydzielony i rodzice niechętnym okiem spoglądają na zajęcia pozalekcyjne i kategorycznie odradzają mi LO, najchętniej bowiem widzieliby mnie w Liceum Medycznym (mama), do którego ja nie mam żadnych predyspozycji, np. na widok krwi robi mi się niedobrze. Co do moich planów to marzę, aby zostać dziennikarką oraz nacieszyć się życiem, wyjść za bogatego człowieka i wyjechać daleko, daleko od wspomnień.

„Jędza"

BĘDĘ PRÓBOWAŁA ZROZUMIEĆ DORASTAJĄCE DZIECI

Moja mama pochodzi z Wołynia, a tato z województwa kieleckiego. Oboje urodzili się w rodzinach biednych, wiejskich. Mama widziała swego ojca tylko przez pierwsze 3 lata swego życia, gdyż w roku 1945 zabiła go banda Ukraińców. Oboje rodziców mego taty na szczęście jeszcze żyją. Tato jest z wykształcenia technikiem technologiem, ale pracuje w milicji (i dlatego ma większy autorytet). Mama jest gospodynią domową i dzięki temu mam do niej większe zaufanie. Zawsze mogę się jej poradzić, zapytać. W ogóle jest bardzo fajna. Sprawiedliwie rozdziela obowiązki, ale największa część przypada jej i mnie, ponieważ brat ma dopiero 6 lat, a tato najczęściej jest w pracy. Co dwa dni tato przynosi mi „Świat Młodych", za co mu jestem niezmiernie wdzięczna, ale nie na długo, bo co jakiś czas zaczyna robić mi wyrzuty, że za dużo słucham muzyki młodzieżowej. Kiedyś nawet doszło do tego, że tato zerwał mi ze ściany plakat Shakin'a Stevensa. Bardzo nie lubię także, gdy mój braciszek, jak mu tylko coś powiem do słuchu (gdy mi przeszkadza) od razu leci do taty i potem mnie się dostaje.

Gdy ja kiedyś założę rodzinę, nie pozwolę na to, żeby dziecko było tak rozpieszczane i przynajmniej będę próbowała zrozumieć swoje dorastające, kochające muzykę dzieci. Po prostu – będę „kobietą czasu".

„Frida"

CORAZ CZĘŚCIEJ NUDZĘ SIĘ W DOMU

Mama, tata i ja – z tych trzech elementów składa się moja rodzinka. Co prawda jeszcze istnieje czwarty element (mój brat), ale on już ma swoją żonę i małą „oną". Mieszkamy sami w domku jednorodzinnym na wsi. Moja mama jest tutejsza, tato natomiast jest warszawiakiem. Dziwny zbieg okoliczności, ale cóż – „los nie pyta" – jak mówi mama. Moi rodzice, w średnim wieku, to wieloletni pracownicy, mamusia – referent, tatuś – nauczyciel. Tu oczywiście moje niezadowolenie, gdyż od najmłodszych lat tatuś – pedagog wpajał mi: „ucz się, córeczko, ucz, bo nauka to potęga". Potęga potęgą, ale osiem lat szkolnego życia pod okiem tatusia to trochę za dużo! O wagarach mowy nie było, ciągle to samo: dom – szkoła, szkoła – dom. W szkole pilnował tatuś, w domu mamusia.

Jeśli chodzi o zaufanie, to oboje rodzice są pod tym względem w porządku. Ufają mi bardzo, a ja im jeszcze więcej. Stosuję jednak mały podział w kolejności informowania, ale to tylko w sprawach, w których wiem, że wystąpią konsekwencje. W takim wypadku informuję najpierw tatusia, a później mamusię. W czasie wymiany zdań tatuś trzyma moją stronę. Cechy charakteru niektóre mamy wspólne, ale jako jednostki mamy własne „ale". To „ale" jest powodem ostrej wymiany zdań, ale jakoś się żyje.

W domu panuje harmonia pracy. Większą część prac wykonujemy wspólnie. Razem robimy pranie, czasem zakupy, itp. Nadzór nad tym wszystkim prowadzi „szyja domu", czyli mamusia, reszta „ciała" ulega „szyi" bez oporu. Czas wolny moi rodzice spędzają różnie, najbardziej jednak lubią popołudniowe drzemki, co uważam, za wadę, gdyż w ten sposób połowę życia przesypiają. Obecnie jestem w internacie i gdy jestem w domu, czas wolny poświęcamy na jakieś drobne prace. W czasie wizyt gości rodziców pomagam przy robieniu zakąski, a później się upłynniam. Jeżeli do mnie kto przyjdzie, to rodzice nie przeszkadzają mi.

Ogólnie mówiąc moja rodzina nie jest zła, lecz rodzice moi są w podeszłym wieku i mają trochę inne upodobania niż ja, dlatego też coraz częściej nudzę się w domu. Za błąd na skalę rodzinną uważam to, iż między mną a bratem jest taka duża różnica wiekowa, co źle wpływa na moje samopoczucie. Zakładając w przyszłości rodzinę, chciałabym abyśmy kochali się i szanowali jak moi rodzice, byśmy mieli do siebie zaufanie i darzyli się przyjaźnią (ja, mąż i dzieci). Nie dopuszczam do siebie myśli zostać matką jedynaka. Nie zamierzam też przesypiać pół życia. Co do losu moich przyszłych dzieci to... krucho z nimi, bo ich przyszła mamusia czyli ja, podobnie jak dziadek będzie „belfrem".

„Eustaszka"

Spotkania

„GAWĘDA"

Od tego wieczoru, który po dobrych kilku latach spędziłem znowu w warszawskim Pałacu Młodzieży z wizytą u „Gawędy", minął już miesiąc, a ja wciąż zastanawiam się, czy byłem tam u starych znajomych, czy u kogoś, kogo odwiedziłem po raz pierwszy.

Pamiętam małą salkę pełną pamiątek i drobnych rekwizytów, tarcze szkolne z fotografiami dziewcząt i chłopców, którzy w tym zespole znaleźli drugi dom, „zasłużone" stare lalki, pamiętające pierwsze spektakle, wypalone w nieokorowanej desce własne prawo, honorową tablicę z nazwiskami uczestników i przyjaciół wyróżnionych odznaką zespołu – miniaturą teatralnej maski i... gawędy o „Gawędzie", której słuchałem w tej małej salce.

Teraz, tego listopadowego wieczoru, przeszedłszy wraz z innymi gośćmi obok telewizora i magnetowidu, obok kamery i monitora, wśród zdobiących ściany zielonych liści pnących się tak prawdziwie, że musiały być chyba sztuczne, znalazłem się w olbrzymiej pustej sali, gdzie tło małej sceny stanowiła wielka fotografia jesiennego pejzażu, z którym nieśmiało konkurowały prawdziwe jesienne liście.

I znów popłynęły słowa o „Gawędzie", która właśnie weszła w okres jubileuszowych obchodów – święci bowiem swe trzydziestolecie...

Kiedyś niewielka grupka dzieci bawiąca się pod kierunkiem niewiele starszego od nich druha, studenta Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, dziś wielki kilkusetosobowy Reprezentacyjny Zespół Artystyczny Związku Harcerstwa Polskiego, który już nie przy pomocy prostych lalek, lecz dziesiątków kolorowych kostiumów i rekwizytów, swym tańcem i piosenką bawi innych. Mniej może na warszawskich podwórkach – a ich teatrem nazwano kiedyś „Gawędę" – a bardziej w salach koncertowych i widowiskowych, nie tylko Polski, ale i wielu stolic świata od Moskwy do Nowego Jorku.

Dziś... Andrzej Kieruzalski, twórca i kierownik zespołu, który każdy powinien zobaczyć choć raz – tak też kiedyś o nim napisano – przestał już dawno być studentem, choć tamtego listopadowego dnia powitał nas słowami, które mógłby powiedzieć i wtedy w odbudowującej się dopiero Warszawie:

„Najważniejsze, że działamy razem i że to nam daje radość."

I choć nie było najstarszych scenek lalkowych, choć akordeon czy gitarę zastąpiła nagrana przez zawodowych muzyków taśma (a miała kiedyś „Gawęda" własny zespół muzyczny!), przy starych piosenkach i scenkach wracała na salę dawna „Gawęda", która radość rozdaje również innym. A ja, przy prostej ale jakże sugestywnej inscenizacji Toccaty Jana Sebastiana Bacha, poczułem ten sam dreszcz, który zapamiętałem z pierwszego spotkania z „Gawędą" i ukrytą w dziewczęcych dłoniach potężną i delikatną muzyką organów. A potem, przy dużo młodszej od tamtej scenki piosence o koniku z karuzeli, znowu pomyślałem o własnym dzieciństwie, o własnych dziecinnych marzeniach i o tym co z nich pozostało do dzisiaj.

A potem była nowa piosenka, najnowsza, jeszcze „ciepła" po świeżym nagraniu – piosenka o Starym Doktorze, o Januszu Korczaku, który swoim dzieciom w wojenną noc życzył lepszego dnia, tłumacząc, że przecież świat większy jest od małej dziecięcej łzy...

I przy tej piosence do reszty przestał być dla mnie ważny play-back, jarzący się za uchylonymi drzwiami ekran monitora, sztuczny jesienny pejzaż i sztuczne zielone liście. Jaśniej zamigotały świece płonące na środku sali i w sumie nie najweselszy świat stał się lepszy o tę nie najweselszą piosenkę, w której świat widziany na zielono przez okulary Starego Doktora stawał się szerszy o oddech dziecka. Tak jak ten za oknem zyskiwał kolory od uśmiechu „Gawędy".

Znacie ją chyba dobrze. Z kolorowych widowisk pod namiotem cyrku i w Sali Kongresowej, z audycji telewizyjnych i z radia, z płyt, dzięki którym i w waszym domu, na każde wasze żądanie mogą zabrzmieć jej kolorowe piosenki, pomagające choć na chwilę przemalować świat.

A za kilka miesięcy zobaczymy jeszcze inną „Gawędę". W przygotowywanym jubileuszowym widowisku przypomni nam chyba i coś sprzed lat, ale zaskoczy nas też pewnie czymś zupełnie nowym. I znowu nie będę wiedział, czy oglądam starych znajomych, czy kogoś, z kim z przyjemnością spotykam się po raz pierwszy.

Tak chyba dzieje się z nami wszystkimi, gdy rok po roku zmienia nas nieco, zostawiając i wiele nie zmienionego. Oby tylko zmieniał na lepsze nasze wady, a utrwalał zalety...

Jarek

REDAKCYJNA POCZTA

Nigdy chyba nie będę wesołą i szczęśliwą dziewczyną

Od trzech lat dokucza mi choroba rzepki kolan. Schorzenie to uniemożliwia mi wyprostowanie nóg i sprawia, że poruszam się dość niezgrabnie. Gdy przechodzę ulicą, wydaje mi się, iż wszyscy gapią się z politowaniem. Te spojrzenia bardzo mnie drażnią. Unikam więc ludzi i rzadko wychodzę z domu. Koleżanki odwiedzają mnie, ale zazwyczaj moimi towarzyszami są smutek i samotność. Nigdy chyba nie będę wesołą, szczęśliwą i z wdziękiem poruszającą się dziewczyną. Czy zatem zawsze tylko litość i współczucie powodować będą zainteresowanie moją osobą? Czy taka dziewczyna jak ja nie może być lubiana przez rówieśników i mieć prawdziwych przyjaciół?

Samotna Iwona

Co to znaczy być dorosłym?

Postanowiłam napisać do Was w sprawie sposobu zachowania się młodzieży. Nie mam zamiaru nikogo krytykować ani moralizować, bo przecież też jestem członkiem tej zbiorowości, ale chciałabym, by moi rówieśnicy zastanowili się i rozważyli tę sprawę. Zastanawia mnie dlaczego tak bardzo pragniemy być dorosłymi, dlaczego uważamy, że oznaką tego jest palenie papierosów, picie alkoholu, wulgarne wyrażanie się, robienie tego, na co ma się ochotę itp. Owszem, są to pewne elementy zachowania naszych rodziców, ale chyba nie te najbardziej pozytywne i najmniej cechują one dorosłość. Według mnie na dorosłość składają się m.in. takie cechy, jak samodzielność oraz odpowiedzialność za to, co się robi. Czy stać nas na spełnienie tych zadań? Chyba nie.

Manifestowanie tego typu „dorosłości" nie doda nam lat, nie wyposaży też w potrzebne umiejętności. Nie ma więc sensu udawać dorosłych. Jest to zwykłe oszukiwanie się. Pozostawmy zatem dorosłym sposoby ich zachowania. Nas stać chyba na własne.

Być może mylę się w swych poglądach, albo nie jestem nowoczesna. Napiszcie, co o tym sądzicie.

Iwona Wysocka

List Piotra (94 nr „RP"), w którym opisywał bolesną, urodzinową niespodziankę, jaką otrzymał od swojej dziewczyny (decyzję o zerwaniu) spowodował duże zainteresowanie. Oto fragmenty niektórych wypowiedzi.

Świat nie kończy się na jednej dziewczynie

Piotr powinien przeanalizować sytuację i zastanowić się, czy decyzja jego dziewczyny nie była słuszna. Może znudził się jej i nie miała śmiałości powiedzieć tego wprost. Dalsze zapewnianie o uczuciach nie miałoby przecież sensu. Piotr musi wziąć się w garść i nie rozpaczać. Świat nie kończy się przecież na jednej dziewczynie. Czas i zapomnienie będą najlepszym lekarstwem na jego ból.

Adwokat

Spokojna rozmowa może wszystko wyjaśnić

Wśród nastolatków nieporozumienia zdarzają się dość często, często też po dniu czy tygodniu wszystko wraca do poprzedniego stanu. Trzeba jednak robić coś w tym kierunku. Picie, palenie i rozpacz nie załatwią sprawy. Piotr powinien przełamać się i poprosić Basię o spokojną rozmowę. Na pewno wiele spraw wyjaśni się. Być może była to tylko pochopna decyzja spowodowana złym nastrojem. Jeżeli o zerwaniu zadecydowały inne przyczyny, Piotr musi się z tym pogodzić. Nie zmusi dziewczyny do uczuć.

Kaśka i Mariola

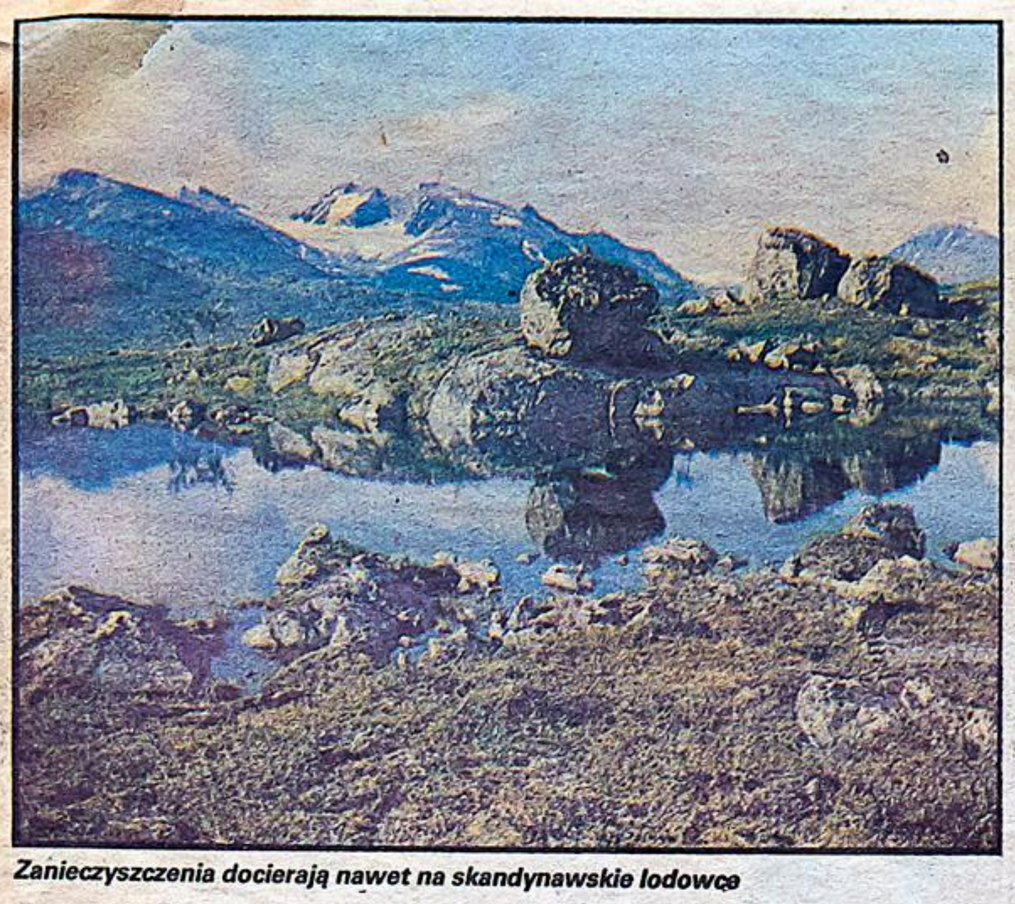

Zanieczyszczenia docierają nawet na skandynawskie lodowce

Czyste, umierające jeziora

Szwecja jest krajem, który przyjezdnym turystom wydaje się czymś w rodzaju „ekologicznego raju": rozległe lasy pokrywające ponad połowę powierzchni kraju, niezliczone jeziora o kryształowo czystej wodzie i surowa przyroda nieskażonej cywilizacją północy kraju. I dopiero niedawno szeroko zakrojone badania naukowe uświadomiły Szwedom, że przyroda ich kraju dotknięta jest podstępną, groźną chorobą, której nazwa brzmi: zakwaszenie.

PONURY SEKRET CZYSTYCH JEZIOR

„Nasze przezroczyste, czyste jeziora nie są tak zdrowe jak wyglądają. Wiele z nich jest już martwych, tysiące właśnie umierają." Tak zaczyna się wydana w Szwecji broszura poświęcona problemom zakwaszenia jezior. Brzmi to jak paradoks, jest jednak ponurą prawdą: jeziora o przejrzystej toni, wydawałoby się nietknięte żadnymi zanieczyszczeniami, w istocie są martwe lub umierające. Jaki kryją sekret?

Organizmy wodne są wrażliwe nie tylko na temperaturę wody i ilość tlenu w niej rozpuszczonego, ale również na stężenie jonów wodorotlenowych (wyrażane w formie wartości pH), czyli mówiąc po prostu – na kwasowość wody. W jeziorach zdrowych woda ma odczyn obojętny, czyli pH równe 7. Gdy kwasowość wód wzrasta do pH 5, giną ryby, wśród nich cenne gatunki takie jak łosoś i pstrąg, znika też wiele drobnych organizmów wodnych. Gdy Ph osiąga wartość 4, w jeziorach następuje katastrofa: giną wszystkie mikroorganizmy i bezkręgowce wodne. Życie w jeziorach zamiera, znikają ptaki i ssaki odżywiające się rybami, m.in. wydry, rybołowy, bieliki i tracze.

W chwili obecnej proces zakwaszenia jezior objął prawie całą powierzchnię Szwecji. Ponad dziesięć tysięcy jezior jest lub wkrótce będzie martwych, gdyż kwasowość wód osiągnęła w nich krytyczną wartość (pH bliskie 4). Na ich dnie gromadzą się liście drzew i gałęzie, które nie rozkładają się w wodzie pozbawionej drobnoustrojów. Innych kilkanaście tysięcy jezior znajduje się w strefie zagrożenia i również dotkniętych jest procesem zakwaszenia.

„KWAŚNE DESZCZE"

Zakwaszenie wód i gleby nigdzie nie ujawniło się tak mocno, jak na Półwyspie Skandynawskim. Przeważające na naszym kontynencie południowe i południowo-zachodnie wiatry tutaj przynoszą zanieczyszczenia wyrzucane wysoko w powietrze w uprzemysłowionych zagłębiach Europy Środkowej i Wielkiej Brytanii. Napotykając łańcuch Gór Skandynawskich i pasmo chłodu, zanieczyszczenia – głównie tlenki siarki i azotu – spadają razem z deszczem i śniegiem przekształcając się w kwasy: siarkowy i azotowy. Granity i gnejsy, będące głównymi skałami Skandynawii, znacznie gorzej przeciwstawiają się zakwaszeniu niż np. wapniowce. Trujące, „kwaśne deszcze" zakażają glebę, lasy, jeziora, powodują przyśpieszoną korozję wodociągów, zapór elektrowni i nawet kabli elektrycznych. W zakwaszonym środowisku łatwiej wyzwalają się takie metale, jak kadm, miedź, aluminium i ołów, które w nadmiarze zgubnie wpływają na organizmy żywe. Rośnie zagrożenie zdrowia ludzkiego, gdyż np. gromadzące się w ciałach ryb i w zbożach metale trafiają ostatecznie na stoły ludzi.

Ostatnio badacze szwedzcy wykryli objawy nowej, groźnej „choroby" środowiska – choroby aluminiowej. Zakwaszenie sprzyja wypłukiwaniu z gleby jonów aluminium, które gromadzą się w jeziorach. Mają one zdolność zastępowania w organizmach żywych innych niezbędnych związków – efektem takiego procesu jest np. praktyczna bezpłodność ptaków, u których w skorupie jaj, szkielecie i mózgu szkodliwe związki aluminium zastąpiły niezbędne tam substancje: tlenki magnezu i wapnia.

WAPNO LECZY JEZIORA

Zanieczyszczenia emitowane z Europy Środkowej docierają nawet za koło polarne. Ich ślady znajduje się na skandynawskich lodowcach. Badania prowadzone w leżącym za kołem polarnym Parku Narodowym Sarek (największym i „najdzikszym" w całej Europie) pokazały, że kwasowość deszczów tu padających jest w tym roku aż 10 razy wyższa niż w 1969 roku. W miarę jak wykrywa się nowe skutki zakwaszenia, podejmowanych jest coraz więcej inicjatyw zmierzających do rozwiązania tego problemu. Szeroka akcja zwalczania zanieczyszczeń atmosfery związkami siarki i azotu doprowadziła do istotnego ograniczenia emisji tych gazów. Rządowy program przewiduje kary więzienia i wysokie grzywny dla przedsiębiorstw i osób, które nie będą przestrzegać obowiązujących rygorów. Jednak i to nie wystarczy, gdyż źródła ponad połowy zanieczyszczeń będących przyczyną „kwaśnych deszczy", leżą poza Szwecją. Dlatego kraj ten proponuje swym sąsiadom i niektórym innym krajom europejskim (przede wszystkim RFN i Wielkiej Brytanii) ściślejsze niż dotychczas współdziałanie w tej dziedzinie w obopólnym interesie.

Problem zanieczyszczenia środowiska związkami siarki i azotu jest bowiem – podobnie jak większość spraw dotyczących ochrony środowiska – problemem międzynarodowym (dodajmy, że i naszym, polskim – też) i wymaga wspólnych, międzynarodowych wysiłków. A póki co, czekając na lepsze czasy, najbardziej zakwaszone jeziora próbuje się ratować zastrzykami z wapna, które pomaga zobojętniać kwasy. Jest to jednak zaledwie kuracja objawowa, nie usuwająca przyczyn choroby i na dodatek – krótkotrwała. Co dwa–trzy lata trzeba ją powtarzać i sypać do jezior nowe tony wapna.

JERZY ROMANOWSKI
Fot. **autora**

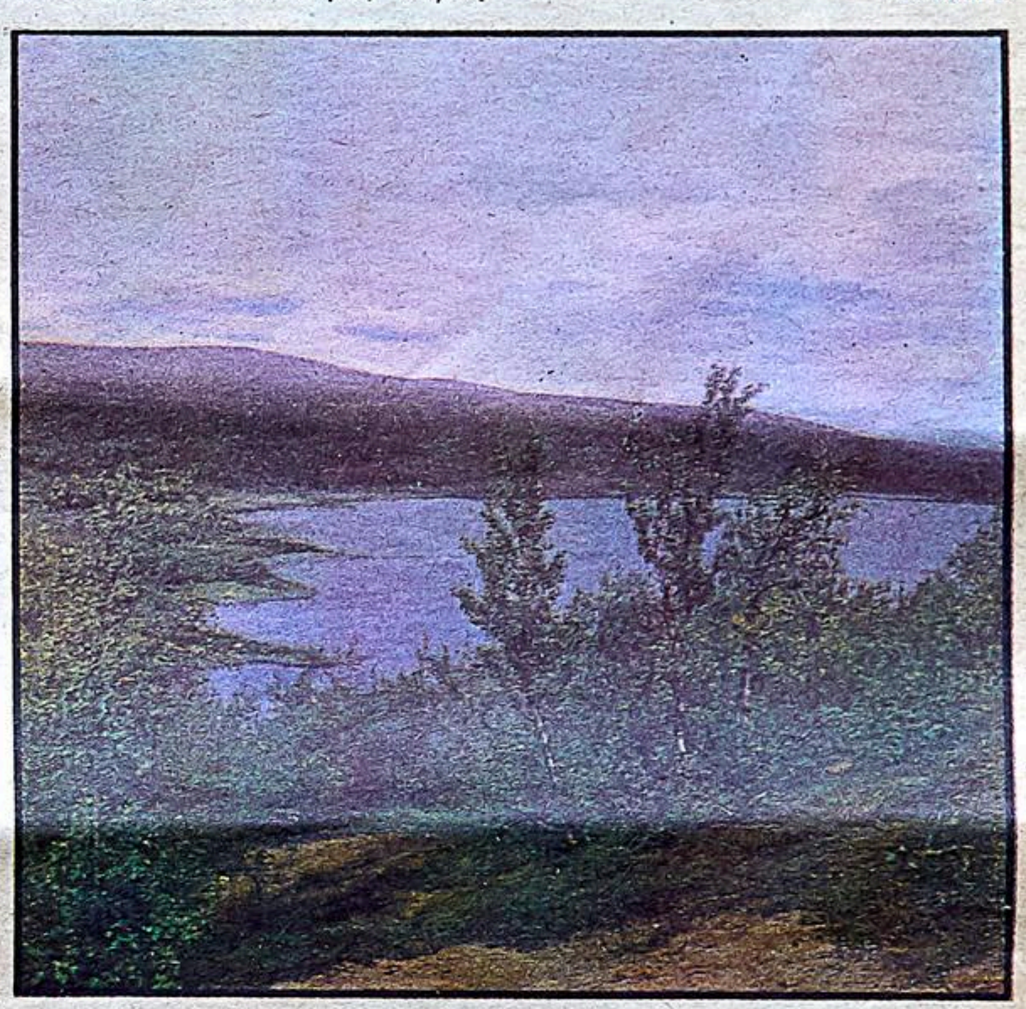

Jaki sekret kryją te czyste jeziora?

CO DALEJ ÓSMA KLASO

POEZJA PÓŁMISKA Z PSTRĄGIEM

Czy wiesz, kim będziesz w przyszłości? A może jeszcze nie podjąłeś decyzji? Zostało Ci na nią tylko 5 miesięcy. Co wybrać? Spróbujemy Ci pomóc. Prezentujemy ludzi różnych zawodów. Ludzi, którym udało się wybrać najtrafniej.

Jeśli kelner jest „wizytówką" zakładu gastronomicznego, kucharz jest z pewnością jego sercem.

Zanim Jadwiga Korba, jedna z czwórki kucharzy w warszawskiej „Karczmie Słupskiej", stała się cząstką serca tej restauracji, odbyła długą „gastronomiczną wędrówkę".

Zaczęła ją w barze mlecznym. Pamięta kluski śląskie. Setki, tysiące. Pierogi z grzybami. Setki, tysiące. Pierogi z kapustą: „nie było wtedy mrożonek, wszystko robiłyśmy same, potrafiłyśmy np. za jednym zamachem ulepić pierogi, zużywając na nadzienie całą beczkę kapusty". Naleśniki: „stawiano przede mną 50 litrów ciasta naleśnikowego i smażył człowiek, smażył, aż mu się potem te naleśniki po nocach śniły". Nudne, bo nudne, ale w końcu nie było to takie straszne, skoro gotowanie po prostu się lubi. Lubiła też chodzić do szkoły. Była to wieczorowa szkoła gastronomiczna dla pracujących. Wśród przepisów, zgłębiając tajniki przygotowywania najróżniejszych potraw, smakując, przyrządzając, Jadwiga upewniała się, że chyba nic na świecie tak jej nie odpowiada, jak kucharzenie. Żeby tylko nie wyłącznie przy tych naleśnikach.

Następnym etapem był bar szybkiej obsługi. W jej przypadku popularna warszawska „Gruba Kaśka". A tam: dział zup, i dział mączny, i dział sosów i mięs, i garmażeryjny. Przejście wszystkich pozwalało na zdobycie autentycznego doświadczenia. Zdobyła. I skończyła pomyślnie szkołę. I już jako kucharz „pełną gębą" właśnie wtedy trafiła – jak dziś żartuje – przez żołądek do serca swego przyszłego męża. A więc i tu umiejętności kucharskie się przydały. I przydają się do dziś. Nierzadko zdarza się bowiem, że mąż, dumny jak paw ze smakołyków przyrządzanych przez nią, chwali się przed rodziną i kolegami: „wiedziałem, kogo sobie wybrać na żonę".

„Gruba Kaśka" skończyła się, kiedy przyszła na świat Agnieszka. Trzeba było przerwać pracę na trzy lata, aby poświęcić się wychowywaniu malucha. Ale kiedy maluch poszedł do przedszkola, mama poszła wraz z nim, tyle że w charakterze szefowej kuchni. Przedszkolno-szkolnej stołówki.

Wspomina teraz tę swoją pracę jako nieustanną krzątaninę – od śniadania do obiadu, a zaledwie skończyło się go wydawać szykowanie podwieczorku – jako wieczne kalkulowanie, kombinowanie. To przecież nie lada sztuka, aby porcje i porcyjki były nie tylko smaczne, ładnie podane, ale też, aby były w zgodzie z normami żywieniowymi dla dzieci, no i oczywiście, aby się pomieściły w budżecie.

Fot. J. Łopuszyński

Chociaż praca w przedszkolu sprawiała jej frajdę, propozycję pracy w „Karczmie Słupskiej" przyjęła nasza pani kucharz z radością. Zawsze to pierwsza kategoria, a na dodatek restauracja ceniona, z regionalną kuchnią, do której byle kogo na kucharza nie zaangażują. Dwutygodniowy okres próbny to było wielokrotne przerabianie wszelakich skomplikowanych receptur na regionalne potrawy. Receptur autentycznych, prosto ze Słupska. Skończyły się krupniczki i placuszki dla przedszkolaczków.

Jak bije jedna czwarta serca restauracji w osobie pani Jadwigi? Rytmicznie. Co drugi dzień przez dwanaście godzin, czyli, inaczej mówiąc, w systemie półtorazmianowym. Na początku przyrządzała oryginalne a smakowite polewki i nie mniej oryginalne dania mięsne. Teraz z braku niektórych produktów i w „Karczmie Słupskiej" można dostać ogórkową lub pomidorową, o których dwa lata temu nikt nawet nie myślał. Ale jest też i żur staropolski, i polewka smołdzińska, wkrótce pojawi się polewka grzybowa, a może nawet i ta najbardziej wyszukana: orzechowa. Zraz piracki i wołowa pieczeń gogolewska stale mają swoich amatorów. Do wszystkiego równie ochoczo pani Jadwiga „przykłada rękę". Dalej lubi tę pracę, może nawet jeszcze bardziej. Wszystkie jej dzisiejsze potrawy pochłaniają wprawdzie dużo czasu, ale za to są ciekawsze. Więcej pracy, ale za to jaki efekt!

Choć należy do niej przygotowywanie i wydawanie dań gorących, niejednokrotnie zdarzyło się pani Jadwidze zastępować kolegów trudniących się garmażerką. To dopiero robiła z przyjemnością. Bo, co tu ukrywać, zupa – choćby nawet polewką zwana – zawsze to tylko zupa. Ważne, żeby była smaczna. Wykazać się można lepiej np. przy sztufadzie, a już na pewno przy garmażerce czyli daniach zimnych, czyli przy tych wszystkich sałatkach, galaretkach, rybach na zimno. Przecież choćby z półmiska z pstrągiem można zrobić prawdziwą poezję. I to dopiero daje radość. Kiedy człowiek tak dobierze wszystko i kolorystycznie („w dzieciństwie pięknie malowałam, myśleli, że malarka ze mnie będzie, a tu kucharka wyszła, ale zamiłowanie do kompozycji, do koloru pozostało") i kompozycyjnie, że aż nie może się powstrzymać, żeby nie pochwalić się przed innymi, że mu tak pięknie wyszło. A przy tym czasem trochę nawet żal, że to wszystko takie nietrwałe, że tyle serca się w swoją robotę wkłada, pracuje się nad swoim dziełem jak plastyk, układa, dobiera, a konsument nawet może nie zwróci na to uwagi i pochłonie wszystko, obojętny na uroki estetyczne dania.

Niektóre koleżanki pani Jadwigi narzekają, że od garów w pracy muszą potem przechodzić do garów w domu. A ona się cieszy, że może nie tylko

CIĄG DALSZY NA STR. 7

ZAWISZACY

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Zawiszacy zorganizowani w tajne zastępy, drużyny i hufce szkolili się do zadań, jakie wynikały z powyższego programu. Zdobywali stopnie harcerskie i sprawności, odbywali ćwiczenia w lasach i gry na ulicach miasta. Chłopcy nie brali w zasadzie bezpośredniego udziału w walce z wrogiem, tak jak ich starsi koledzy z wyższych szczebli Szarych Szeregów. Ich rola to „być gotowym", znać miasto, jego zaułki, tajne przejścia, być spostrzegawczym, sprawnym, odważnym, umieć sobie zawsze dać radę i zawsze umieć pomóc innym. Tym niemniej podejmowali w sposób zorganizowany, a czasami „na własną rękę" różne „przedsięwzięcia". Oto zawiszacy w akcji...

PRZY NIEZNANYM ŻOŁNIERZU

Pewnej wrześniowej niedzieli chłopcy jednej z warszawskich drużyn zawiszackich podjęli służbę przy Grobie Nieznanego Żołnierza.

Stwierdzono, że przechodzi tędy dużo ludzi, ale rzadko kto uchyli nakrycia głowy przed tym czcigodnym, choć w czas wojny zaniedbanym miejscem. W akcji, kolejno, wzięły udział trzy zastępy. Zadanie chłopców polegało na uważnym obserwowaniu zachowania się przechodniów. Jeśli któryś z nich nie zdejmie nakrycia głowy, trzeba go niego podejść i grzecznie zapytać: „Przepraszam, dlaczego pan nie zdjął czapki przed Nieznanym Żołnierzem?" – i to wszystko.

Chłopcy zajęli stanowiska. Przechodniów i spacerowiczów ze względu na bliskość Ogrodu Saskiego było tego niedzielnego popołudnia co niemiara. Niektórzy uchylali kapeluszy, ale większość przechodziła obok tego miejsca obojętnie. Właśnie na tych polowali zawiszacy; śmiało podchodząc kłaniali się grzecznie i wypowiadali swoją formułkę. Jedni przechodnie peszyli się, inni uśmiechali z sympatią i uchylali czapek czy kapeluszy.

Co kwadrans inny zastęp wchodził do akcji. Zawiszacy uwijali się jak w ukropie. Dla niektórych z nich była to poważna próba przełamania nie tylko nieśmiałości, ale przede wszystkim lęku. W każdej przecież chwili można było „nadziać" się na Niemca w cywilu. Właśnie zdarzyło się to podczas służby ostatniego już zastępu. Jeden z chłopców podbiegł do opasłego faceta, który właśnie mijał grób.

– Przepraszam, dlaczego pan nie uchylił kapelusza przed Nieznanym Żołnierzem? – zapytał przechodnia.

W odpowiedzi padło wściekłe zdanie po niemiecku. Chłopak rzucił się do ucieczki, a grubas za nim. Pozostali zawiszacy widząc, co się święci, rozpłynęli się w tłumie. Akcja zakończyła się szczęśliwie, dając chłopcom wiele zadowolenia z siebie i satysfakcji z dobrze spełnionego obowiązku.

UPROWADZONY SAMOCHÓD

Oto jednego razu dwóch chłopców z „Zawiszy" – „Mysz" (Tadek Kobok) i „Sławek" (Sławomir Więcek) – postanowiło uprowadzić Niemcom samochód. W tym celu przeprowadzili zwiad na ulicach i podwórkach posesji, gdzie, jak się można było spodziewać, mieszkali volksdeutsche. No i wypatrzyli taki samochód przy ulicy Rakowieckiej. Upewniwszy się, że w pewnych stałych godzinach wóz stoi nie pilnowany, przybyli, by się nim „zaopiekować". Nie mając kluczyków otworzyli w jakiś sposób okienko, rozblokowali hamulce, a następnie pchając wyprowadzili samochód z podwórka. Prowadzili pojazd „na pych" ulicą Rakowiecką i Alejami Niepodległości w kierunku swojej kamienicy, gdzie mieli zamiar go ukryć. W pewnej chwili doszło do groźno-komicznego momentu. Oto zatrzymuje się przy chłopcach ciężarowe auto z żołnierzami niemieckimi, którzy wzięli ich za dzieci volksdeutschów, i sądząc, że auto się zepsuło, zaofiarowali swą pomoc. Przerażeni początkowo chłopcy nie stracili jednak zimnej krwi. Skorzystali z pomocy i w ten sposób pozostałą część drogi przebyli wygodnie w samochodzie holowanym przez wehrmachtowców. Zdobyte w ten sposób auto przekazane zostało plutonowi „Agat" (późniejszy „Parasol") i przydało się w niejednej akcji bojowej.

KĄŚLIWA OSA

OSA – to kryptonim, pod którym działały w 1943 roku Oddziały Specjalne (OS), coś w rodzaju zawiszackiej milicji, przeznaczone do interweniowania w różnych trudnych sytuacjach. Sam skrót „Osa" świetnie oddaje treść jej działania. „Osa" grupując starszych zawiszaków, choć nie mogła uderzać potężnie – mogła i potrafiła ciąć jadowicie, boleśnie.

Pewnego dnia „Osa" zaalarmowana została wiadomością, że niemiecka dyrekcja Dworca Południowego na Służewie w perfidny sposób szykanuje Polaków dojeżdżających do pracy lub dowożących żywność z podwarszawskich wsi, jednym słowem podróżnych. Z tego dworca często korzystali też zawiszacy wyjeżdżający na ćwiczenia do lasów chojnowskich. Szykany dyrekcji polegały na tym, że krótko przed odejściem pociągu, na który czekały tłumy ludzi, uruchamiano tylko jedną kasę. Powodowało to ogromne zdenerwowanie, a często i jazdę bez biletu. Kontrolerzy niemieccy wyłapywali wówczas „gapowiczów" pobierając od nich wysokie mandaty, bijąc i łżąc podróżnych.

„Osa" postanowiła dać Niemcom nauczkę. Przygotowano kilka atrap granatów zaczepnych (używanych w armii niemieckiej) wypełniając je łatwopalnymi kliszami. Tymi to

CIĄG DALSZY NA STR. 5

Papierowe wiatraki i kramy z owocami

Krzysztof Renik pisze z Indii

KOLOROWY JARMARK W GAUHA

Chodnika nigdy tu nie było. Wąskie pasmo ubitej gliny obok nierówno położonego asfaltu to cały tutejszy deptak. Parterowa zabudowa bocznych uliczek Gauhati, stolicy indyjskiego stanu Asam, jest przytulna i swojska. Od razu można się tu poczuć stałym bywalcem. Aż dziw, że dobrych kilka tysięcy kilometrów od Polski życie codzienne nie jest wcale dziwaczne i trudne do zaakceptowania. Zasługa to po części samego miasta, a także ludzi, którzy choć inni, nie są dla przyjezdnych obcy i niesympatyczni. Choćby ten stary mężczyzna o ciemnej i połyskliwej skórze, który przy wąskiej, pełnej dziur i wybojów uliczce prowadzi niewielki warsztat rzeźbiarski.

Na słonecznym podwórku suszą się małe figurki. Są szare i trudno je zauważyć na wysuszonej, spękanej ziemi. Ale stary rzemieślnik krąży wokół nich niczym dobry opiekun. Jego miękkie ruchy sprawiają wrażenie, że nie chodzi, lecz pływa pośród miniaturowych cacek. Twarz zadowolona, pełna uśmiechu. Teraz już nawet nie wiem czy uśmiechał się do mnie, czy do swoich glinianych przyjaciół. Pod dachem, w chłodnym cieniu, jego dwóch pomocników lepi pracowicie kolejną figurę. Ta będzie większa i dużo okazalsza od innych. Cała trójka jest bardzo zapracowana. Widać, że zamówienia są poważne. A sprawna ich realizacja to punkt honoru każdego azjatyckiego przedsiębiorcy. Wreszcie stary rzeźbiarz przerwał obchód suszących się figurek i pokazując w uśmiechu biel zębów zaczął mówić:

– Za kilka dni w Gauhati będzie wielkie święto – Siwaratri. Dużo ludzi przyjedzie do miasta. Zobaczysz, będą przyjeżdżać ze wszystkich zakątków Asamu. Na nadrzecznym bulwarze będzie wielki jarmark, wielki kolorowy jarmark!

Po chwili tonem wyjaśnienia dodał:

– Te wszystkie figurki przygotowujemy na sprzedaż. To dużo pracy. Trzeba je jeszcze pomalować.

Znając indyjskie tłumy gromadzące się na takich świątecznych jarmarkach, jestem w stanie sobie wyobrazić ów ogrom ludzi, który wypełni puste zwykle bulwary nad Brahmaputrą. Ale cóż to za święto Siwaratri?

Siwaratri znaczy dokładnie tyle co Noc Siwy. Obchodzona jest najczęściej w końcu lutego, ściśle w czternaście dni po zniknięciu księżyca w tym miesiącu. Może się jednak zdarzyć, że wypadnie i w początkach marca. Kalendarz świąt hinduskich jest ruchomy – zależy od wschodów i zachodów księżyca. W Asamie obchody ku czci boga Siwy są szczególnie uroczyste i huczne. Być może spowodowane jest to przeświadczeniem, że Siwa zamieszkuje w sąsiadujących z Asamem Himalajach.

Minęło kilka dni. Na podwórku przed warsztatem rzeźbiarskim przybywało coraz więcej figurek. Szarość gliny ustąpiła barwności farb, którymi rzemieślnicy powlekali swoje wyroby. Nadszedł wreszcie dzień święta.

Od rana barwny rój mieszkańców Gauhati ciągnął w kierunku rzeki. Białe stroje mężczyzn, zwiewne, o tysiącu odcieni kobiece sari, żółte i pomarańczowe kwiaty zdobiące większość ubiorów podkreślały malowniczość świątecznego dnia.

Centralnym punktem uroczystości była wyspa Umananda oddzielona od Gauhati szarym i wartkim nurtem Brahmaputry. Chybotliwe łodzie służące do przeprawy kursowały pomiędzy brzegiem i wyspą bez przerwy. Brahmaputra stała się w dniu święta ruchliwą arterią wodną. Na wyspie znajduje się niepozorna świątynia. To właśnie do niej ciągnęły w ów świąteczny dzień tłumy asamczyków. Przeprawa na wyspę zajmuje kilkanaście minut, potem przygotowanie dzbanuszka z ofiarami i wędrówka stromą ścieżką na szczyt wzgórza do świątyni. Po drodze chwile modlitwy w domkach miejscowych sandhu, rytualny malunek na czole i dalszy marsz ku górze w celu dopełnienia religijnego obowiązku: złożenia świątecznej ofiary.

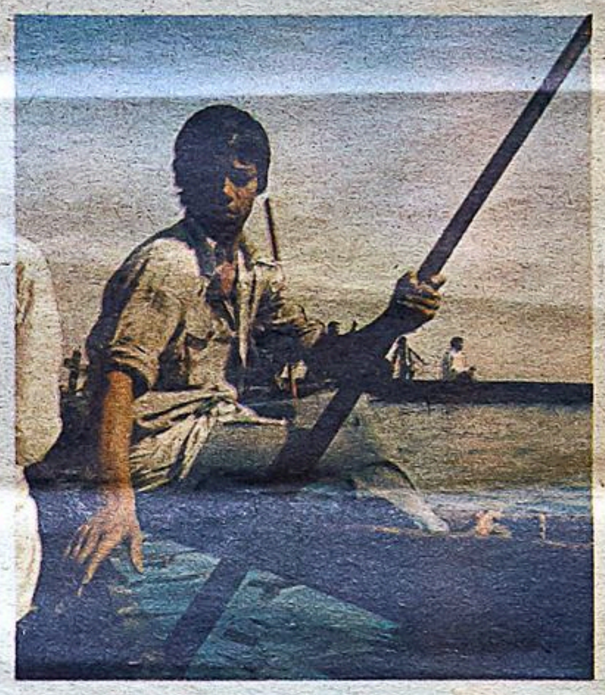

Młody asamczyk, przewoźnik na Brahmaputrze

Jarmarczne stragany z plecionk

POLSCY NAŚLADOWCY RUBIKA

(2)

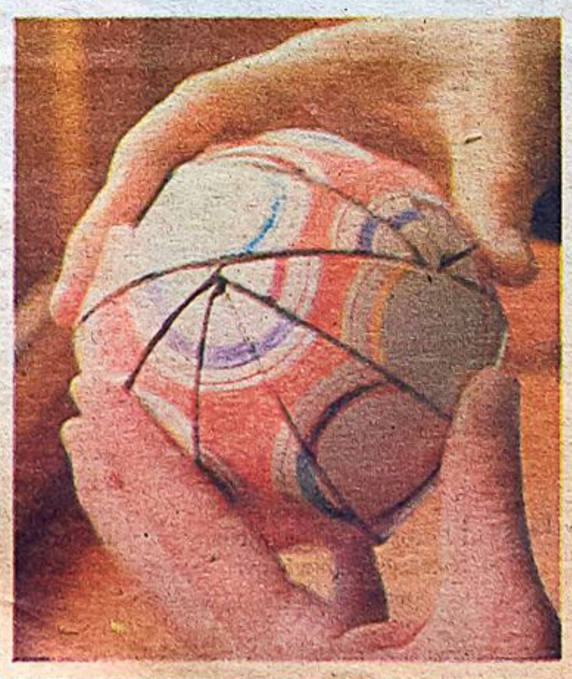

Magiczny globus

Okazał się rewelacją wystawy i związanego z nią konkursu. Zajął wprawdzie dopiero drugie miejsce, ale zarazem – otrzymał niezależnie od tego główną nagrodę dr. Ernö Rubika.

Na pierwszy rzut oka przypomina piłkę. Autor zresztą z całą świadomością umieścił na zewnętrznej powierzchni wzory podobne do tych, jakie umieszcza się na piłkach. Kula składa się z działek (jest więc czymś w rodzaju podzielonej pomarańczy). Całość jest tak skonstruowana, że ujmując kulę oburącz w taki sposób, by biegun mieć mniej więcej przed oczami, można jej półkulami obracać o 360° wzdłuż każdego z południków. W ten sposób pomiesza się nieuchronnie szyk naniesionych na powierzchnię figur (barwnych kółek). Zadaniem jest oczywiście ułożenie na powrót wyjściowego wzoru. A że tych działek jest 10, mamy przed sobą wcale niełatwe zadanie. Twórca tej zabawki, inż. **Jerzy Ołdak**, przyznał, że sam miał kłopoty z ułożeniem wzoru. Myśli też, by zamiast barwnych kółek w przyszłości namalować na powierzchni kuli mapę świata i tym samym uczynić z niej globus. Mógłby on stać się wtedy pomocą naukową w nauczaniu geografii. Porządkowanie porozrywanych archipelagów, dopasowywanie do kontynentów oderwanego półwyspu itp. – może rzeczywiście ułatwić zapamiętanie ich położenia na mapie świata.

Działki tego „globusa-pomarańczy" nie są litymi kawałkami tworzywa, lecz mają konstrukcję ażurową. Do ich zbudowania p. Ołdak użył m.in. zapałek. Każda działka ma na swych płaskich powierzchniach: półkolisty rowek (z jednej strony) i półkolistą „szynę" (z drugiej strony). Gdy działki, zestawione razem w globus, stykają się ze sobą, szyna jednej wchodzi dokładnie w rowek drugiej i dzięki temu działki mogą się obracać względem siebie, a globus nie rozpada się.

Prototyp tej „kulistej układanki logicznej" p. Ołdak zrobił na prę dni przed wystawą, toteż nie jest on idealnie wykończony i działa z pewnymi zacięciami. No, ale działa... **(tok)**

Fot. **M. Szymański**

KONKURS NA FANT NAGRODA – PRZYJA

Nie tak dawno pisaliśmy o spotkaniu finalistów konkursu »Od „Sołdka" do „Daru Młodzieży"« na nowej fregacie i o tym, że nadesłane przez Was w ramach tego konkursu fanty-upominki wzbudziły duże zainteresowanie. Ponieważ wszystkie Wasze pra-

ce zostały sprze
w Finlandii, pr
Budowy „Daru
dant „Daru Po
wicz – zaprop

Na zdjęciu – reprodukcja jednej z licznych grafik nadesłanych na „DARU MŁODZIEŻY". Autorem prezentowanej jest Zbyszek Sło

WY RK ATI

Wyspa to jedna scena uroczystości, nadrzeczny bulwar to druga. Tutaj, zgodnie z zapowiedzią starego rzemieślnika, trwał od samego rana jarmark.

Przygotowania do jarmarku zaczęły się jeszcze przed świtem. Słabo oświetlonymi uliczkami podążali w kierunku jarmarcznego placu ludzie. Ciągnęli wyładowane wózki, na plecach dźwigali pękate toboły. Dla nich świąteczny dzień będzie czasem ciężkiej pracy. Gdy podskakujące na wybojach wózki dotarły nad rzekę, rozpoczęło się urządzanie kramów. Płachta materii rzucona na ziemię lub pleciona mata to cały stragan. Kiedy handlarze ułożyli już na nich swe towary, plac nabrał życia. Poranne słońce

kami

Gliniane figurki, wyobrażenia hinduistycznych bóstw

podkreśliło soczystość barw, pierwsi klienci wprowadzili świąteczny ruch i gwar. Na niewielkiej przestrzeni nadrzecznego placu szybko zaczęło brakować miejsca. Mniej przezorni handlarze musieli zająć pod swe przenośne sklepiki boczne uliczki. Niebawem i tam kłębił się rozgadany i kolorowy tłum ludzi.

Czym handlowano z taką namiętnością i pasją na świątecznym jarmarku w Gauhati?

Małe figurki ze znajomego warsztatu to jeden z bardziej chodliwych towarów. Nie byle jaki to towar! Każda z nich przedstawiała wyobrażenie któregoś z licznych bóstw hinduizmu. Piękne i tajemnicze boginie, groźni i wojowniczy bogowie, łagodne i uległe bogom zwierzęta to najczęstszy temat tych kolorowych drobiazgów. Już po kilku godzinach handlowego zamieszania stragany z figurkami zaczęły świecić pustkami. Pomyślałem o starym rzemieślniku, który tak pracowicie przygotowywał się do jarmarku. Dobrze wiedział, że każda ilość jego wyrobów znajdzie chętnych nabywców.

Stragany z plecionkami. Czegóż na nich nie było! Małe i duże plecione tace, rozmaitość koszy i koszyków, czapki i kapelusze, stoły, stoliczki i krzesła, wreszcie tak pospolite w całym Asamie duże mięsiste maty. Sprzedaż tych wszystkich przedmiotów nie nastręczała żadnych trudności. Wielu kupujących traktowało świąteczny jarmark jako znakomite miejsce dla uzupełnienia domowych i gospodarskich sprzętów. Wybierać można było do woli.

Na zmęczonych i wygłodniałych uczestników jarmarku czekały stragany z jedzeniem. Owoce i warzywa w pełnym wyborze. Od delikatnych bananów po ziemniaki i fasolę. Na małych przenośnych kuchniach smażono zwijane placki, ciastka i ciasteczka. Wszystko ociekające olejem i wykrzywiające usta niezwykłą słodyczą. Jarmarczni handlarze pomyśleli także o ludziach potrzebujących pomocy. Kilka straganów z miejscowymi lekarstwami wypełniała ogromna ilość butli i buteleczek, słoi i malutkich fiolek, w których tajemniczo mieniły się kolorowe płyny pomagające, zdaniem sprzedawcy, na wszystkie znane i nieznane choroby.

Pod wieczór plac opustoszał. Poznikały poukładane jedne przy drugich maty, ludzie rozeszli się do domów. Skończył się świąteczny dzień. Za rok następne Siwaratri. Podobne do tego, które minęło. Siła tradycji jest ogromna w każdym punkcie naszego globu.

Fot. **autora**

ZAWISZACY

CIĄG DALSZY ZE STR. 4

„granatami", uprzednio zapalając klisze, obrzucono okna biura dyrekcji kolei. Posypały się szyby, dym ogarnął cały budynek. Przytwierdzony do jednego z „granatów" list zaadresowany do dyrektora dworca nie tylko żądał lepszego traktowania podróżnych, ale również groził ostrzejszymi karami, gdyby nie zastosował się do tego żądania. Akcja odniosła, przynajmniej na jakiś czas, skutek. Herr dyrektor tak się wystraszył, że przez kilka godzin nie śmiał opuścić pomieszczenia, nie powiadomił też o tym zdarzeniu policji.

DLA DZIECI Z PODWÓREK

Ważną dziedziną działalności zawiszaków była praca kulturalno-oświatowa prowadzona na rzecz środowiska – szkoły, domu, podwórka, świetlicy RGO itp. Szczególnie wyspecjalizował się w tym jeden z zastępów hufca im. Ziem Zachodnich, działający na Grochowie pod kierunkiem zawiszaka „Andrzeja Flisa" (Andrzej Kieruzalski). Stworzony przez niego w początkach 1943 roku teatrzyk kukiełkowy znany był dzieciom grochowskich szkół, domów wychowawczych (m.in. przy ul. Krypskiej) i podwórek. Równolegle z teatrzykiem kukiełkowym przeznaczonym dla dzieci młodszych (z repertuarem Marii Kownackiej), zawiszacka grupa „Andrzeja Flisa" organizowała dla starszej młodzieży patriotyczne akademie i przedstawienia. Wystawiono na przykład kilkakrotnie „Warszawiankę" Stanisława Wyspiańskiego. Na próby tych poważniejszych przedsięwzięć przychodziła z fachową radą i serdeczną pomocą pani Mira Zimińska-Sygietyńska. (Z tej zawiszackiej działalności kulturalno-artystycznej wyrósł po wojnie znany i zasłużony Harcerski Teatr „Gawęda" stworzony i prowadzony do dziś przez b. zawiszaka, hm. PL Andrzeja Kieruzalskiego – „Andrzeja Flisa").

W POWSTANIU WARSZAWSKIM

Nazywano ich „roznosicielami radości". To miano nadał im dziennikarz z powstańczej radiostacji „Błyskawica", opracowując komunikat o utworzeniu i działalności w walczącej Warszawie – Harcerskiej Poczty Polowej.

Obsługiwało ją w siedmiu oddziałach pocztowych około 180 zawiszaków (w tym kilkanaście dziewcząt). W ciągu ośmiu tygodni walk zawiszacy przenieśli i doręczyli około 150 tysięcy listów! Oto jak wyglądała ta służba w relacji pani korespondent powstańczej gazety „Z pierwszej linii frontu" z dnia 15 sierpnia 1944 roku:

„Na murach, na bramach domów – małe, czerwone skrzynki z napisem „Poczta Polska". Uruchomili ją najmłodsi harcerze. Czy zastanawiamy się, że te czworokątne pudełka to maleńkie stacje bohaterstwa? Bez żadnego rozkazu, po to tylko, aby pomóc ludziom odnaleźć swoich bliskich, by stroskanym rodzicom przynieść wiadomość o ich walczącym synu, aby na przekór wrogowi przedrzeć się przez zapory wytworzone na żywym ciele miasta – narażają się mali, dzielni chłopcy na rany i śmierć, przebiegają bez lęku miejsca, przed którymi zawahaliby się najodważniejsi.

Spotykam jednego z nich. Stopy ma zabandażowane, widać pokaleczył je sobie w za dużych, nie swoich butach. Mimo to śpieszy się, biegnie pewnie, przemyka się pod barykadami, pędem przeskakuje przez znajdujące się pod obstrzałem ulice.

– Przechodzę przez Aleje na tamtą stronę... może i pani chce coś posłać? – mówi do mnie serdecznie i prosto, bo dostrzegł moje zainteresowane spojrzenie skierowane w jego stronę.

– Nie, chciałam się tylko zapytać, jak się czujesz w swojej pracy?

– O, doskonale! Cóż to za radość tak przyjść do kogoś i widzieć radość na widok listu, widzieć matki, które całują te małe zabazgrane karteczki. Spieszę się, żeby jak najwięcej listów doręczyć i wrócić znów po nowe. Przecież oni wszyscy tak na to czekają.

Uśmiechnął się jeszcze do mnie i zniknął za rogiem ze swoim cennym ładunkiem.

Warszawo! Kiedy czerwoną skrzynkę opróżnia chłopiec, wiedz, że to nie jest zwykły urzędnik spełniający swoje obowiązki. Wiedz, że to mały, cichy bohater i podziękuj mu za to najpiękniejszym ze swoich uśmiechów..."

* * *

Zawiszacy. Gdyby nie wojna, okupacja, zbrodniczy terror hitlerowców i walka przeciw najeźdźcy, mówiłoby się o nich – dzieci. Ale oni przestali być dziećmi, nawet gdy liczyli sobie mniej niż 12-14 lat. Byli żołnierzami specyficznej służby, która stawiała przed nimi zadania przekraczania linii frontu, przenikania przez pozycje nieprzyjaciela, docierania z listami i meldunkami nawet poza walczące miasto. W powstaniu okryli się chwałą nie tylko jako dzielni listonosze poczty polowej, ale także jako łącznicy, kolporterzy gazet powstańczych, obserwatorzy, zwiadowcy, strażacy, saperzy i sanitariusze. A także chłopcy z butelkami benzyny przeciw hitlerowskim czołgom. Wielu z nich poległo. Ci zaś, którzy przeżyli dramatyczne i bohaterskie dni Powstania Warszawskiego, tworzyli pierwszą powojenną kadrę Związku Harcerstwa Polskiego. Dziś są to ludzie w sile wieku – inżynierowie, ekonomiści, lekarze, nauczyciele, reżyserzy filmowi, chemicy, muzykolodzy, dziennikarze, oficerowie, architekci, prawnicy, radiotelegrafiści – i czynem piszą historię naszych dni.

JERZY KASPRZAK

TY – UPOMINKI – PRZEDŁUŻONY!
AZD ZWYCIĘZCÓW NA „DAR MŁODZIEŻY"

edane, a część z nich kupiono nawet zewodniczący Społecznego Komitetu Młodzieży", były wieloletni komen- morza" – kapitan Kazimierz Jurkie- nował, aby konkurs przedłużyć do końca grudnia. Przypominamy, że „Dar Młodzieży" ciągle pływa „na kredyt", że do jego spłacenia ciągle brak wielu milionów złotych i liczy się każdy zebrany na ten cel przysłowiowy grosz.

Oczywiście zmieniają się nieco warunki uczestnictwa. Nie będziemy bowiem drukować kuponów.

Natomiast podkreślamy, że wykonane przez Was prace muszą być związane z regionem (wycinanki, wyplatanki, serwetki, małe formy rzeźbiarskie, kilimki, malowanki na szkle, malowanki – jeśli z tego regionu słynie np. wieś Zalipie w woj. tarnowskim, wypalanki w drzewie, wyroby ceramiczne) lub z tematyką żeglarską i morską (węzły, wyroby ze sznura, akwarele, modele żaglowców itp. itp.).

Fanty-upominki należy nadsyłać pod adresem „Świata Młodych" 00-561 Warszawa, ul. Mokotowska 24, do końca grudnia. Do końca grudnia bowiem z polecenia ministra łączności wszystkie poczty będą przyjmowały przesyłki adresowane do naszej redakcji, na których opakowaniu będzie widniało hasło „Dar Młodzieży". W konkursie można uczestniczyć zarówno indywidualnie jak i zespołowo.

Zwycięzcy konkursu: zespołowi (pięciu uczestników oraz wychowawca) oraz indywidualni – uczestnik wraz z opiekunem – zostaną przez SPOŁECZNY KOMITET BUDOWY „DARU MŁODZIEŻY" zaproszeni do Gdyni. Oprócz tego między uczestnikami konkursu rozlosowane zostaną dwie latarnie, a konkretniej dwa światła pozycyjne statku, które wiele lat pływały po morzach i oceanach świata, a teraz stanowić mogą wspaniałą dekorację tak w kąciku morskim w drużynie czy szkole jak i w domu.

Nadsyłając fanty-upominki nie zapomnijcie podać swego dokładnego adresu, a jeśli macie w domu telefon, również numeru telefonu. Na opakowaniu przesyłki, pod adresem redakcji, napiszcie dużymi literami hasło: „DAR MŁODZIEŻY". **(wm)**

finał konkursu OD „SOŁDKA" DO wik – indywidualny zwycięzca.

Fot. **W. Mroczek**

DZIURKOWANE SKRZYDŁA SAMOLOTU

USA (PAP). Badania aerodynamiczne wykazały, że jeśli w metalowej przedniej krawędzi skrzydeł samolotu zrobi się wiele kapilarnych (włoskowatych) dziurek, to opór powietrza znacznie się zmniejszy. Efekt ten zamierza wykorzystać w swoich samolotach amerykańska firma lotnicza Douglas. Według ocen duży samolot z perforowanymi skrzydłami zużywa mniej ok. 40 proc. paliwa. Doświadczenia wykazały, że średnica otworów powinna być grubości ludzkiego włosa, a rozstaw między nimi ok. 0,64 mm. W czasie lotu specjalna pompa zamontowana w skrzydle wsysa powietrze przez te otworki, w rezultacie czego powietrze w pogranicznych warstwach skrzydła staje się mniej bezwładne. Nad strefą odsysania tworzy się cienka warstwa laminarna, która spełnia rolę „smarowidła" między skrzydłem i zasadniczym strumieniem powietrza. W najbliższym czasie w fabrykach Douglasa za pomocą elektronicznego promienia będzie się wykonywać ok. 260 otworków w 1 cm kw. tytanowej płyty. Pozostaje problem ochrony dziurek przed zanieczyszczeniem pyłami i małymi owadami. Zamierza się dlatego wyposażyć dziurkowane skrzydła w system napryskiwania nań po lądowaniu cienkiej zastygającej błony, która po wzlocie zostanie zerwana przez powietrze. **(jo)**

GWIAZDOZBIÓR

Claudia Cardinale wciąż piękna

Od kilku lat czytam ze szczególnym zainteresowaniem wtorkowy „Świat Młodych" właśnie ze względu na „Gwiazdozbiór". Jestem bowiem zapaloną kinomanką. Nieraz znajdowałam w tej rubryce cenne dla mnie informacje, no i zdjęcia ulubionych artystów. Ale jak to się stało, że dotąd (przejrzałam trzy roczniki) nie napisaliście o takiej znakomitości, jak Claudia Cardinale?

Maryna z Wrocławia

O Claudii rzeczywiście nie pisaliśmy od dawna, choć przed laty („Gwiazdozbiór" ma już z górą osiem lat) opowiadaliśmy już o bajkowej historii dziewczyny, która, przypadkiem (!) wciągnięta na estradę, wygrała konkurs piękności, choć to jej siostra miała w nim startować. Była to oczywiście Claudia, która w ten sposób zdobyła bilet do sławy, czyli angaż do filmu i przyjęcie do szkoły filmowej. Dziś więc może opowiemy o niej nieco inaczej.

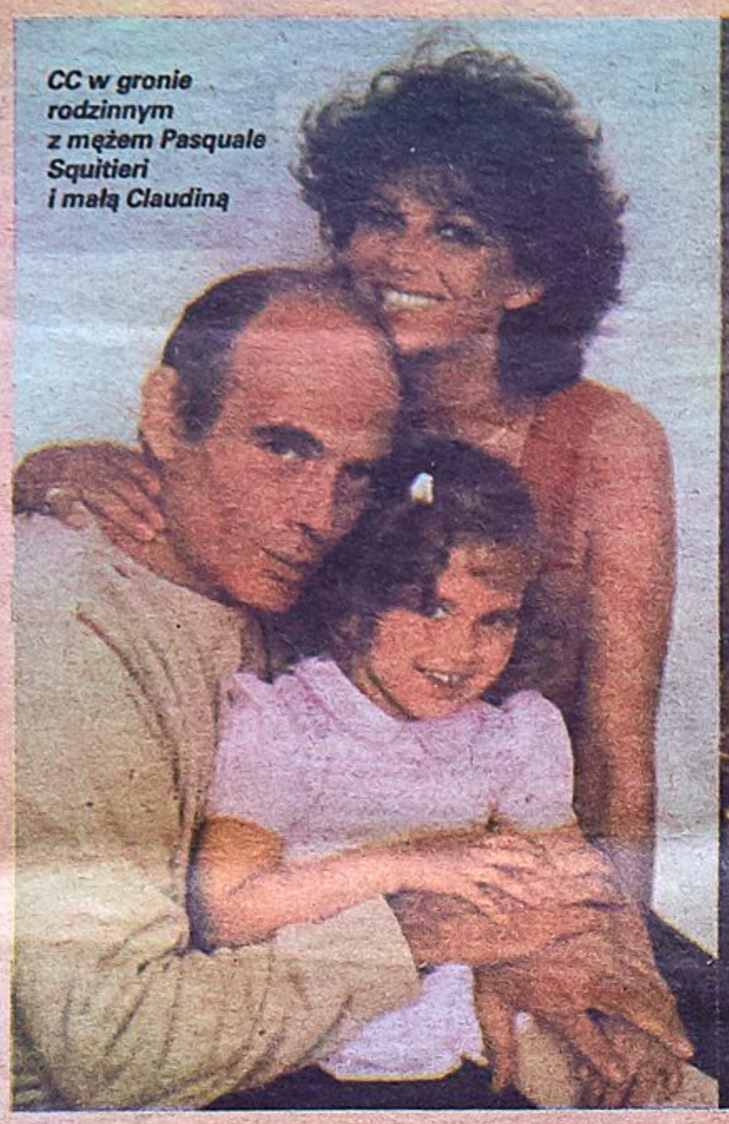

CC w gronie rodzinnym z mężem Pasquale Squitieri i małą Claudiną

... równie piękna jak dawniej

Są aktorzy, którzy w każdej roli są przede wszystkim sobą i jeśli są sławni – nazywamy ich gwiazdami, liczy się w filmach bowiem przede wszystkim ich wyjątkowa osobowość lub uroda. Są też tacy, którzy w każdym następnym filmie grają inaczej niż poprzednio, jakby wcielali się w sensie dosłownym w nową postać. Claudia Cardinale – już 43-letnia włoska aktorka – należy do tej drugiej grupy, choć równocześnie jest tak olśniewająca, że nie sposób nie nazywać jej gwiazdą.

Mówiła o tym sama w jednym z bardzo starych wywiadów w ten sposób: ***Przedziwne, jak rozmaicie na mnie patrzą: niektórzy jak na symbol seksu, ekscytujący posąg, inni jak na dziewczynę, którą chętnie by poślubili, ponieważ ma w sobie tyle słodyczy i spokoju; jeszcze inni widzą we mnie przede wszystkim przyjaciółkę i w listach opowiadają o swym życiu, przygodach, kłopotach i nadziejach...***

Ta rozmaitość spojrzeń na niewątpliwą gwiazdę wynika z jej niejako wrodzonej aktorskiej plastyczności. Z ogromną intuicją gra zawsze tak, jak życzą sobie tego jej reżyserzy, a było wśród nich wielu bardzo wybitnych. Fellini w „Osiem i pół" pokazał ją jako dziewczynę doskonałą, wcielenie ideału, któremu żaden mężczyzna się nie oprze. W „Lamparcie" Viscontiego, mimo stylowych sukien, urzeka przede wszystkim naturalnością i wdziękiem, który jest czymś zupełnie nowym na tle manier i konwenansów obowiązujących wśród starej arystokracji. W „Pięknym Antonio" u boku dynamicznego Mastroianniego jest natomiast statyczna, emanująca spokojem i rzeczywiście posągowo piękna. Potrafi też Claudia być tragiczna aż do wielkiego wzruszenia widza, jak w „Błędnych gwiazdach Niedźwiedzicy" i demoniczna, a nawet fatalna, jak w „Synu marnotrawnym", ale tego typu role należą u niej do rzadkości.

Zdobywszy sławę w filmach włoskich CC została wciągnięta przez machinę Hollywoodu. Występowała tam u boku najsłynniejszych męskich gwiazd. Obawiano się jednak, że udział w tzw. superprodukcjach zniszczy jej świeżość i autentyczną kobiecość, że zmanieruje ją. Tak się jednak nie stało. Aktorka spróbowała swych sił właściwie we wszystkich gatunkach kinowych: w sensacyjnych kryminałach, westernach, melodramatach, komediach. Radziła w nich sobie równie wspaniale, jak w ambitnych psychologicznych dramatach. Nawet okres trzyletniego odsunięcia się od pracy, kiedy poświęciła się wychowywaniu córeczki noszącej jej imię, a pieszczotliwie wołanej Claudina, nie zaszkodził jej.

Ostatnio na polskich ekranach w ramach tygodnia filmów RFN oglądaliśmy ją w „Fitzcaraldo" Wernera Herzoga. Grając w tym filmie nie ulękła się straszliwego klimatu peruwiańskiej dżungli, w której wytrwała wiele miesięcy. Na ekranie zobaczyliśmy ją jak dawniej piękną i doskonałą. Obecnie wróciła do Włoch, gdzie wiele czasu spędza w wiejskim domu położonym 30 km od Rzymu, no i pracuje znów dla włoskich reżyserów. W tej chwili nad główną rolą w filmie „Claretta", który realizuje jej mąż Pasquale Squitieri.

(eb)

Fot. archiwum

DOM MODY świata młodych

ALE PIĘKNA ZIMA!!!

(Serial włóczkowy – odc. 2)

Popatrzcie na zdjęcia, a właściwie na obrazy wydziergane na prezentowanych tu swetrach i powiedzcie, czyż ta zima nie jest piękna?! Zarówno sweter z uroczym śniegowym bałwankiem jak i ten z narciarzami, którzy suną przez ośnieżony las wywołuje uśmiech i od razu ma się na myśli zimowe ferie spędzane gdzieś w górach. I nawet jeśli człowiek ferii w górach spędzać nie będzie, to już sam widok takiego swetra poprawia samopoczucie. Nie mówiąc o możliwości ubrania się w taki sweter. A czemu niby nie?!

No, owszem nie jest to robota na drutach najłatwiejsza, ale przecież są dziewczyny, które znacznie trudniejsze dziergadła same wykonują. A te, które same nie potrafią, to miewają babcie, dla których wykonanie takiego swetra nie przedstawia specjalnych trudności. I gdyby tak babci takie zdjęcie umiejętnie podrzucić, to... kto wie, może by do gwiazdki się wyrobiła. Kłopoty z surowcem? A od czegóż umiejętność... prucia. Zresztą dziewczyny, które na drutach robią i tak ciągle coś prują – jest to jedyna metoda, aby bez kosztów mieć ciągle coś nowego, innego do założenia.

Takie swetry-obrazy, to zresztą wcale nie wynalazek bieżącego sezonu. Pisałam o nich już parę razy, chociaż ostatni raz – rzeczywiście dość dawno temu (w nr. 116 z 6 października 1981 r. o swetrach zoologicznych, a w nr. 111 z dnia 23 września 1980 r. o swetrach-pejzażach – kto ma możliwość zerknąć do tych starych numerów, niech z tej możliwości skorzysta, bo będzie to spore uzupełnienie dzisiejszego odcinka). Te wydziergane na swetrze obrazy mogą być bardzo różne. Najogólniej rzecz biorąc dzielą się one na ponadczasowe (np. zwierzęta właśnie) tj. takie, które można nosić przez cały rok oraz na sezonowe czyli np. właśnie takie jak te dzisiejsze – na zimę coś pięknego, ale już w lecie człowiek w czymś takim wyglądałby co najmniej dziwnie.

I w tym, myślę, jest także pewien urok. W naszym klimacie, kiedy sweter (nawet gruby) nosi się w gruncie rzeczy przez okrągły rok, posiadanie takiego, który zdecydowanie do określonej pory roku jest przypisany, stanowi pewnego rodzaju ewenement. Przynajmniej takie jest moje w tym względzie zdanie. I coraz bardziej dojrzewam do podjęcia decyzji, aby się za robotę jakiegoś takiego swetra zimowego zabrać. Życzcie mi cierpliwości. Ja tym z Was, którym dzisiejszy pomysł się spodobał, też jej życzę!

RIUSZKA

POEZJA PÓŁMISKA Z PSTRĄGIEM

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

konsumenta, ale i całą rodzinę zachwycić np. swoim ulubionym daniem „Po rozum do głowy". Móżdżek po polsku układa się na kotlecie schabowym sauté, zawija się to wszystko w naleśnik i... nie, do końca nie zdradzi. „Tajemnica zawodowa". Tak jak i receptury na różne potrawy.

– Dzięki mojemu zawodowi zdobyłam umiejętności pozwalające mi, szczególnie w dzisiejszych trudnych czasach, na wyczarowanie czegoś smacznego i posilnego nawet „z niczego" – cieszy się pani Jadwiga.

Ważna jest też – jej zdaniem – świadomość, że jest to zawód zawsze i wszędzie potrzebny, że kucharz wszędzie znajdzie pracę, w odróżnieniu choćby od inżyniera. Ważne jest także, że zarabia się w tym fachu całkiem nieźle, bez przysłowiowych kokosów wprawdzie, jak głosi fama, ale nie poniżej średniej krajowej.

To wszystko nie oznacza, że nie bywa ciężko, czasem nawet bardzo. W lecie w kuchni gorąco jak w piekle. Nie pomaga ani klimatyzacja, ani otwarte okna. W zimie też jak otworzysz okno – marzniesz, zawiewa cię, zamkniesz – dusisz się. Dźwiganie ciężkich garów. Praca na stojąco. Stale na nogach. Bolą często. Jak jest duży ruch, to czasem i do 19.00 nie zdąży się zjeść obiadu. Praca na zmiany co drugi dzień powoduje, że nie liczą się ani wolne soboty, ani niedziele, że jak na ciebie akurat wypadnie, to i w Wielkanoc, i w Wigilię i w Sylwestra, kiedy inni spędzają czas z najbliższymi, ty znów stoisz w swojej kuchni jak na posterunku.

Tyle że te wszystkie niedostatki może przesłonić świadomość własnej ważności, znaczenia – „bez kucharza nie ma zakładu; co by kelnerzy wynosili konsumentom, gdyby nas nie było?" Pani Jadwiga ufa swojemu talentowi i doświadczeniu, jest pewna, że to co robi, robi dobrze. I jakby nie dość jej jeszcze było, już tak całkiem prywatnie lubi szykować przyjęcia weselne, lubi robić dla rodziny i znajomych torty, podobno nie ustępujące horteksowskim.

– Biuro, fabryka? Toż to nie dla mnie! Zupełnie sobie tego nie wyobrażam. To musi być strasznie nudne. Nie to co u nas.

I jeśli marzy o jakichś zmianach, to chyba tylko o tym, żeby kiedyś więcej pracować w garmażerce. I jeszcze żeby uczyć innych. Wielu praktykantów. Uczyć tego, co sama tak lubi robić. To chyba jednak największa frajda.

EWA KOSIŃSKA

Leszek Lewandowski poruszył temat rentgenowskich źródeł promieniowania w kosmosie. Temat ten jest obszerny, dziś więc tylko sygnalizujemy to zagadnienie. Załączona mapka przedstawia niektóre jaśniejsze źródła promieniowania. Natomiast o ciekawym problemie pisze Darek Kosowski. Mimo że sprawa zbrojeń w kosmosie była już omawiana na tym miejscu, zachęcam do przeczytania jego artykułu.

PREZES

BROŃ LASEROWA – MOŻLIWOŚCI I OGRANICZENIA

Od pewnego czasu na łamach „ŚM" a ściślej w Tomiku, ukazuje się sporo publikacji na temat zbrojeń w przestrzeni kosmicznej. W relacjach tych dominują informacje o bliskim terminie prób działa laserowego przeprowadzanych w kosmosie. Przed paroma dniami dowiedziałem się, że wiadomości te są błędne. Laserowe urządzenie wojskowe z wielu przyczyn nie może być eksploatowane w przestrzeni kosmicznej. Oto fakty przemawiające za takim stwierdzeniem.

Wiązka laserowa dużej mocy potrafi wypalić na wylot otwór w grubej metalowej płycie. I takie zastosowanie lasera – do cięcia metali – jest już praktykowane w wielu dziedzinach przemysłu. Właśnie ta zdolność wiązki laserowej zrodziła w umysłach wojskowych ideę, by laser wykorzystać jako broń. W tym zastosowaniu widzą oni laser jako strzelbę miotającą „promienie" śmierci, coś w rodzaju urządzeń, w które autorzy powieści science-fiction od dawna wyposażają swoich bohaterów. Wiązkę laserową można wycelować w atakującą rakietę lub samolot i natychmiast je zniszczyć. Ponieważ wiązka laserowa rozchodzi się z prędkością światła, praktycznie nie sposób umknąć takiemu pociskowi. Pewnego dnia takie bronie laserowe, dziś jeszcze hipotetyczne, mogą zacząć odgrywać istotną rolę. Obecnie jednak zasadniczym problemem jest odpowiedź na pytanie, czy technicznie w ogóle możliwe jest zbudowanie takiego skutecznego systemu broni laserowych? Zdaniem Kostyłsipira, jednego z szefów Programu Naukowego i Technicznego dla Potrzeb Bezpieczeństwa Międzynarodowego zrealizowanego przez wydział fizyki Instytutu Massachusetts, jest to nierealne, przynajmniej w ciągu najbliższych 15 lat. I chociaż wiele przeszkód już pokonano, to cele takiego programu mogą na zawsze pozostać w świecie iluzji. Wiele bowiem trudności wynika po prostu z fizycznych właściwości rozchodzenia się wiązki laserowej na duże odległości. I tych prawdopodobnie pokonać się nie da. Inne trudności są natury technicznej i ekonomicznej. Broń laserowa różni się od innych rodzajów stosowanych broni trzema zasadniczymi cechami. Po pierwsze – przekazywanie energii niezbędnej do zniszczenia celu odbywa się za pośrednictwem wiązki fal elektromagnetycznych (w broniach konwencjonalnych ładunek wybuchowy przenoszony jest za pomocą pocisku lub rakiety). Po drugie – energia niszcząca jest przekazywana z prędkością światła a więc 300 milionów metrów na sekundę, podczas gdy rakieta naddźwiękowa porusza się z prędkością ok. 2000 m/s. Po trzecie – wiązka laserowa musi dokładnie trafić w cel, podczas gdy ładunek wybuchowy może go zniszczyć eksplodując obok. Zatem żeby laserem zniszczyć rakietę, trzeba najpierw określić jej położenie z dokładnością równą co najmniej jej wymiarom, a potem z tą samą precyzją wycelować wiązkę fal elektromagnetycznych. Działo laserowe umieszczone na orbicie powinno zniszczyć rakietę w chwilę po jej starcie, a zatem ze znacznej odległości. Nastręcza to nowe problemy. Wiązka laserowa ma bowiem tendencję do rozbiegania się. Ponadto wiązka taka przechodząc przez atmosferę ziemską ulega osłabieniu i rozproszeniu. Cząsteczki powietrza a zwłaszcza zawieszony w nim pył i kropelki pary wodnej absorbują i rozpraszają światło. Na przykład wiązka podczerwieni z lasera zmniejsza swoje natężenie o połowę po przebyciu 4 km w warstwie powietrza. Chmury, dym, zapylenie czy mgła mogą zupełnie pochłonąć wiązkę laserową. Tak więc skuteczność broni tego typu w zastosowaniu do zniszczenia celów będących w atmosferze jest wątpliwa. Jest to największa z wad proponowanego systemu.

Inne kłopoty dotyczą przede wszystkim energii niezbędnej do funkcjonowania urządzenia laserowego. Nie będę się tutaj szczegółowo rozpisywać na ten temat, dodam tylko, że całkowita energia wiązki laserowej musi mieć ponad 80 mln dżuli w każdym impulsie. Jeżeli impuls ma trwać około 100 mikrosekund, żeby wypalić otwór, musi osiągnąć około 1 miliona megawatów. Dziś jest to zupełnie nieosiągalne, a moc taką mają największe bloki w elektrowniach atomowych. Reasumując – lasery, jako broń przegrywają, Ich pierwszm przeciwnikiem jest sama pogoda. I choćby z tego powodu lasery są bronią niepewną, za to skomplikowaną, wrażliwą i niezwykle kosztowną. Z tych powodów nie mają przed sobą perspektyw.

Dariusz Kosowski

RENTGENOWSKIE OKO

Chciałbym opisać jak wyglądałoby niebo, gdyby nasze oczy były czułe na inne długości fal, np. w dziedzinie fal rentgenowskich. Załóżmy, że mamy duże oczy, dostatecznie czułe, by rejestrować obiekty ok. 400 razy słabsze niż najjaśniejsze poza Układem Słonecznym źródła. Wybierzmy się teraz na orbitę okołoziemską (bo z Ziemi nic byśmy nie zauważyli) i rozpocznijmy obserwację. Oczywiście najjaśniejszym obiektem jest oślepiające Słońce, ale – o dziwo – nie jest ono ani jednorodnie jasne, ani „ograniczone" swą tarczą – liczne wąsy wystają daleko w przestrzeni. Jasny jest również Księżyc odbijający słoneczne promieniowanie X, ale niewiele mu ustępują najjaśniejsze źródła poza Układem Słonecznym. Zadziwiający jest fakt niewielkiej liczby widocznych źródeł. Jest to poniekąd spowodowane granicą czułości naszych oczu oraz faktem, że najjaśniejszy obiekt poza Układem Słonecznym Sco. X-1 (w gw. Skorpiona), jest kilka razy jaśniejszy niż wszystkie inne źródła razem wzięte. Prawie wszystkie źródła są, podobnie jak w zakresie widzialnym, praktycznie punktowe, jednak po zanalizowaniu przyczyn ich jasnego świecenia w promieniach X stwierdziliśmy, że duża ich część to układy podwójne gwiazd zawierające gwiazdę neutronową (np. Sco X-1, Her. X-1) lub czarną dziurę (Cyg. X-1 w gw. Łabędzia), jasno świecą źródła zanurzone w centrach gromad kulistych i w samym centrum Galaktyki. Dużo jest źródeł pozagalaktycznych, przy czym większość to gromady galaktyk, zupełnie niewidoczne gołym okiem w zakresie widzialnym. Po przyłożeniu rentgenowskiego teleskopu do rentgenowskiego oka ujrzymy nowy świat milionów słabszych źródeł.

Leszek Lewandowski

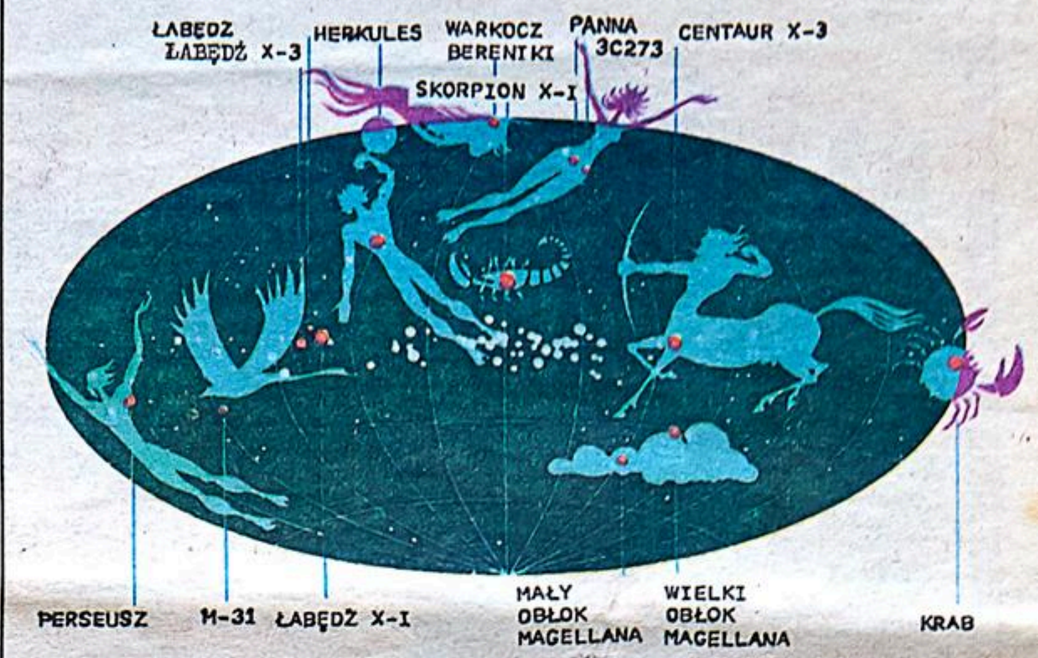

16 SATELITÓW JOWISZA

W nr 67 „ŚM" z dnia 3 VIII 82 r,. w kąciku WTP'82 (kosmiczne wyprawy turystyczne) powstała pomyłka. Chciałbym ją sprostować, otóż Jowisz, piąta planeta naszego Układu Słonecznego, przy obecnym stanie wiedzy posiada nie 13 jak to było podane lecz 16 satelitów. Ostatni został odkryty w 1979 r. poprzez analizę obrazów otrzymanych z pomocą sond „Voyager 1" i „Voyager 2". Otrzymał on numer identyfikacyjny 1979J3.

Satelita ma średnicę 40 km. Okres obiegu wokół Jowisza wynosi 7 godz. 4 min. i 30 sek. Jego orbita znajduje się w odległości 56 tys. km od powierzchni chmur otaczających Jowisza. Jeżeli to możliwe proszę wydrukować mój krótki list, by nie krążyły błędne informacje na ten temat.

KORNELIUSZ JAŚNIOK

RECENZJE TOMIKA

„Dziesiąta era kosmiczna Ziemi"

Od kilkudziesięciu lat trwają prace nad budową gwiazdolotów, które wezmą udział w wielkiej wyprawie międzygalaktycznej. Siłą napędową tych pojazdów będzie energia kosmosu, energia gwiazd, promieniowanie kosmiczne, wichry słoneczne, siły grawitacyjne innych układów słonecznych. Te niewyczerpane źródła energii pozwolą gwiazdolotom na rozwinięcie szybkości bliskiej prędkości światła.

Zadanie ekspedycji – nawiązać kontakty z innymi cywilizacjami i zbadać kształt kosmosu. Dzieje tej ogromnej, liczącej tysiące gwiazdolotów wyprawy kosmicznej – to treść najnowszej powieści fantastyczno-naukowej Czesława Chruszczewskiego. Pokazanie ludzi przyszłości w tak niezwykłych okolicznościach daje pisarzowi możliwość poczynienia wielu ciekawych obserwacji psychologicznych, interesujących przemyśleń na temat trwania, przemijania, hierarchii wartości, mądrości, moralności. Pierwszy raz w dziejach wypraw kosmicznych uczestnicy ekspedycji zabierają w kosmos Dom Rodzinny.

Maria Dębek

bolała go wykręcona ręka, i skóra na głowie, ciągnięta włosami zgarniętymi przez ogromną garść siłacza.

– Daj spokój – powiedział.

Siłacz szarpnął za włosy, Rybak skrzywił się, ale uśmiech natychmiast powrócił na wargi, jakby mimo wszystko, mimo bólu, Rybak nie mógł opanować wewnętrznego rozbawienia, wręcz zadowolenia. Nie mogłam zrozumieć, co go tak cieszy. Dopiero on sam znacznie później powiedział mi, że radował go tak namacalny dowód kontaktu z prawdziwym życiem. No cóż, co kto lubi. Ale żartował oczywiście. Już wtedy przewidział, że zdobędzie dla siebie Różę.

Róża zastanawiał się.

– To co? – spytał któryś z kulturystów. – Puścić czy przylać?

– Puścić – powiedziałam. Podniosłam się i oglądałam spodnie, na których pozostały smugi brudu.

– Zaraz – powiedział Róża. – Więc on...

– Miał nadzieję, że wróci, zanim się Smarkul obudzi.

Róża zastanawiał się. Siłacze czekali z pewną niecierpliwością, rozluźnili się, Rybak mógł teraz lekko unieść głowę.

– Nie lubię go – mruknął Róża.

Wzruszyłam ramionami. Nie chciałam go popędzać, byłam zresztą przekonana, że sam nie uzna własnej niechęci za dostateczny powód do bicia człowieka.

– Niech obieca, że da spokój mojej siostrze – zażądał Róża. – Wtedy go puszczą. Obieca pan?

Przeszedł już na pan.

– To jej i moja sprawa – mruknął Rybak spokojnie. – Nie wtrącaj się, mały.

Prowokował Różę. Może nie zdawał sobie sprawy z tego, co mu mogą zrobić. A może był już pewny, że nie zrobią mu nic, bo zjawiłam się ja i byłam świadkiem. Niewygodnym dla tych chłopców.

Róża podrapał się w głowę i popatrzył na mnie, jakby szukał rady.

– On ma rację – powiedziałam.

– Wiem – wrzasnął ze złością. Kopnął ziemię – Cholera.

Milczał parę sekund.

– Puście go – burknął, a siłacze z ulgą odskoczyli od Rybaka, który wyprostował się i powoli, ciągle z uśmiechem, patrząc na Różę z jakimś ciepłym namysłem, rozcierał rękę.

– Działasz dość zdecydowanie – mruknął i pokręcił głową. – Ale metody! Nieco barbarzyńskie.

– Sam bym nie dał rady – powiedział Róża. – Sprawa była jasna i nie chciałem panu dawać szansy. A dlaczegò pan nic nie mówił? Nie byłoby tego.

– Miałem rozmawiać w przymusowej sytuacji? Obezwładniony?

– Mógł się pan bronić.

– Chciałem się dowiedzieć, o co ci chodzi – wyjaśnił Rybak, wetknął połę koszuli w spodnie, rozejrzał się i spytał: – Chyba mogę już iść. Trochę się spieszę.

– Gdzie jest Czteropalcy?

Róża pierwszy raz użył imienia tamtego chłopaka, no, przezwiska. Widocznie uznał, że teraz ma już prawo.

– Na bagnach.

– I pan go zostawił?

– Idę do człowieka, który zna przejścia.

– Pan go zostawił – powtórzył Róża. – Tchórz.

Rybak spochmurniał.

– Nie gadaj głupstw – powiedziałam. – Czteropalcy ucieka. Nie mogli warować na brzegu. Zostawili mu amulet jako znak. Powinien wrócić.

– Ale nie wrócił. Mogli tam czekać.

– Nie musiał im ufać.

– Wszystko jedno – powiedział Róża. – Tchórz. Idę na bagna. Wy – zwrócił się do swej świty – możecie odejść.

– Nie pójdziesz – powiedział Rybak.

Obstawa Róży już się rozpierzchła, wracając do swoich zajęć biegli w dół, widziałam jeszcze na końcu alei kilka postaci, za chwikę i one znikły.

– Pan mi nie zabroni. Znam trochę bagna.

Rybak zastanawiał się, wreszcie kiwnął głową.

– Poczekasz dziesięć minut? Pójdziemy razem.

– Dobrze – ponuro ucieszył się Róża. – Będę miał pana na oku.

Cdn.

Newsolka profesorka Antresolka

24

tekst & rysunki T. BARANOWSKI

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.) Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski, (sekretarz redakcji).
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny od 11⁰⁰–15⁰⁰)
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne
Inna Bójska

Opracowanie techniczne
Bogumiła Szczupakowska

korekta
Bianka Abratowska-Lisowska

Nakł. 500 292
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 5097/G Z-61

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

DO SKLEPU z artykułami żelaznymi przychodzi fakir:

– Proszę trzydzieści deka gwoździ, ale bez pakowania – połknę na miejscu...

★

OBURZONY KLIENT: – Twierdzi pan, że to czysta wełna, a na metce napisano „bawełna"!

– To dla zmylenia moli!

Nie słyszeli mnie albo zlekceważyli, kiedy podchodziłam. Stali w ciasnym kręgu obejmującym Różę i jeszcze kogoś, nie, po chwili widziałam lepiej, stali kręgiem, ale wewnątrz znajdowały się przynajmniej cztery osoby, tak, cztery. Dwóch osiłków przyginało do ziemi człowieka w białej koszuli i do niego mówił Róża. Słyszałam. Oskarżał go o kradzież i wyliczał, co za chwilę z nim zrobią. Tym człowiekiem był Rybak.

Podbiegłam. Teraz już wiedzieli, że jestem. Róża rzucił mi spojrzenie między głowami strażników, czy świadków, jakich sprowadził, zająknął się, ale natychmiast znów zwrócił się do Rybaka i wyraźnie, rozdzielając słowa, domagał się odpowiedzi.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Nie przepuszczali mnie, uderzałam w nieruchome plecy, twardniały wtedy, chłopcy napinali mięśnie i przywierali do siebie, likwidując wszelkie luki.

– Róża – krzyknęłam wreszcie.

Rybak targnął głową, któryś z osiłków natychmiast nakrył jego włosy ciężką łapą i znów zmusił do patrzenia na ziemię.

– Dlaczego to zrobiłeś? – powtórzył Róża.

– On jest niewinny – krzyknęłam.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Obchodziłam krąg w około. Nie było przejścia, a Róża postanowił mnie nie słyszeć.

– Mów! – krzyknął Róża. Jeden z trzymających mocniej wykręcił rękę Rybaka i Rybak syknął. Ale nie szamotał się. Walka już chyba była za nim. Widziałam plamy na jego koszuli, rozpiętej głęboko, chyba urwali parę guzików. Ale jeszcze nie stała mu się wielka krzywda. Na razie obezwładnili go tylko. Widocznie Róża wstrzymywał kolegów. Mogłam się tego spodziewać. I mogłam się spodziewać, że unieruchomiwszy Rybaka, da mu szansę obrony.

– On znalazł chłopca! – wrzasnęłam. Podskakiwałam za ich plecami, by lepiej widzieć. Rybak nie próbował się wyrywać, widziałam jego profil, spokojne usta, może nawet leciutko, prawie niezauważalnie uśmiechnięte, jakby Rybaka bawiła cała ta sytuacja, więcej, jakby w jakiś przedziwny sposób był z niej zadowolony.

– Czteropalcy powinien tu niedługo przyjść – krzyknęłam. – On mu zostawił talizman.

Trochę upraszczałam, ale z nielicznych słów Rybaka nie dowiedziałam się przecież wiele więcej.

Róża zamilkł. Teraz mnie słuchał.

– Zabrał talizman ukradkiem, bo...

– Ukradł – przerwał mi Róża.

– Bo nie chciał, żeby Smarkul poszedł z nimi na bagna. Wiedział, że Smarkul by się napraszał. To niebezpieczne.

Musiałam głupio wyglądać, skacząc za plecami jego obstawy, opierając się o te plecy, podciągając na nich, by wystawić głowę wyżej i widzieć, być widzianą.

– Przepuśćcie ją – powiedział nagle Róża.

I oni rozstąpili się tak gwałtownie, że wpadłam do środka kręgu zupełnie bezwładnie, runęłam na kolana i przeszorowałam na nich parę centrymetrów. Zapiekło.

– Poszedł z twoim sąsiadem – powiedziałam.

Widziałam teraz oczy Rybaka. W mojej pozycji było to łatwe. Nie podnosiłam się, bo musiałam widzieć jeszcze przez chwilę, żeby uwierzyć. On się naprawdę uśmiechał, choć na pewno

Dokończenie na str. 7